

MAGISTER LUDI

ROZMOWA Z PROFESOREM JACKIEM BANASZKIEWICZEM

(Z OKAZJI JUBILEUSZU 65-LECIA URODZIN
I 40-LECIA PRACY NAUKOWEJ)

Jacek Kowalewski, Paweł Źmudzki: Każdy jubileusz skłania do podsumowań. Ważnym elementem takich podsumowań jest przywołanie punktu wyjścia celebrowanej historii. Chcielibyśmy więc zapytać o „mityczne początki” profesora Jacka Banaszkiewicza, czyli o Pana dzieciństwo spędzone w Poznaniu.

Jacek Banaszkiewicz: To jest świetne pytanie. W gruncie rzeczy całe „ja” mogę zwinąć do tych krótkich pierwszych 9–10 lat w Poznaniu. Później byłem tam tylko gościem. To był okres bardzo dla mnie ważny... i tak sobie myślę, że wiele osób uważa, że mnie dobrze zna, ponieważ widziało mnie później, w Warszawie. Ale praktycznie to, co we mnie najważniejsze, wyniosłem z Poznania. Jednak związki i znajomości poznańskie zostały w tym mieście na zawsze. Warszawa dała mi nową maskę i rozpoczęła zupełnie inny – nowy rozdział życia. Wracając do mitycznych początków – urodziłem się w domu przy ulicy Fryderyka Skarbka 31, do tej pory pamiętam ów adres. Dziadkowie kiedyś byli dość zamożni. Mieli na skraju miasta piękną willę ze wspaniałym ogrodem. Jak wychodziło się z ulicy, zaczynały się błonia. Taki dawny Mokotów, myśląc kategoriami warszawskimi. Ale oczywiście to był Poznań i tamtejsze ulice były znacznie ładniejsze. Otóż moja ulica była starannie wybrukowana i z porządnym trotuarem, z profesjonalnie odlanymi kratami kanalizacyjnymi, miała też okazałe latarnie gazowe. I co więcej, pewien pan jeździł na rowerze i je o zmierzchu zapalał, a rano gasił. Było bardzo porządnie, nie było śmieci, nic się nie wałało.

Za moich czasów nad całą tą ulicą i paroma obok – nad Ostroroga, Rycerską, Kanclerską, Lubeckiego oraz innymi pobliskimi – ciążyło, nie wiem, jak to nazwać, jakieś dziejowe przeznaczenie czy wyrok losu. Wielu mieszkańców albo siedziało w więzieniu, albo zaginęło gdzieś na wojnie, albo starało się jak najmniej rzucać w oczy. Były częste rewizje. Szukano różnych rzeczy, dowodów na jakieś polityczne odstępstwa, ale przede wszystkim dolarów, za które można

było pójść siedzieć. Pamiętam tamte akcje – jako dziecko byłem zaangażowany w sprawę w tym sensie, że na przykład zakopywaliśmy wieczorem lub chowaliśmy gdzieś podrzucane przez sąsiadów precjoza. Babcia była osobą urodzoną w XIX wieku i pamiętała bolszewików pod Radzyminem. Pełna była gotowości do pracy konspiracyjnej. Mówiła: „Jacusi, ty zapamiętaj, gdzie my to zakopaliśmy”. Potem zdarzało się, że trudno było te „skarby” odnaleźć, ale jakoś się znajdowało. Pamiętam te rewizje. Byłem bardzo otwarty w stosunku do panów, którzy przychodzili, bo myślałem, że to są jacyś mili ludzie. Wtedy sądziłem, że wszyscy ludzie, zwłaszcza nas odwiedzający, są mili. Ale żeby już skrócić tę opowieść, nad całym moim dzieciństwem, i to jest ciekawe przeżycie, wisiało coś takiego, co – jak sądzę – dobrze wyczuwał Tonio Kröger, gdy przemierzał swoje miasto jako dorosły człowiek. Odchodzenie znanego i miłego mu świata, który został przez los przekreślony, butwieje, ponieważ nieodwołalnie pcha się nowe. Ale ja w nim jestem i wszyscy moi bliscy tkwią w nim jakby zakazani, a ja nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Zabawna rzecz, że przenosząc się do Konstancina (używając zwrotu lubianego przez profesora Stanisława Rosika), znalazłem się w tych samych klimatach. To znaczy wylądowałem w miejscowości, gdzie dominowały wille dawnej plutokracji, poniszczone, niezadbane, gdzie mieszkali różni, bardzo na pewno fajni ludzie, ale lokatorzy niskiej kultury w większości. Wszystko niszczało, i te ozdobne kwiatony, malatury, elewacje, i ogrody. Właściwie te wille były już niepotrzebne i nierzeczywiste.

Wracam jeszcze na chwilę do Poznania. Te dziecięce doświadczenia były bardzo określone. Padał na nie zawsze cień przemijania, tajemnic chronionych przed „Nimi”, nową władzą. Jakiś tatuś w Katyniu zginął, ale zostały po nim szable, bo był oficerem, więc myśmy walczyli tymi szablami. I naśmiewaliśmy się z ruskich żołdatów, stacjonujących w willi na skraju Skarbka (jesienią i latem grali w błocie w siatkówkę, obok wałęsających się świń, na bosaka i w kalesonach), kradliśmy im kawałki drewna przygotowane na opał. Jakaś dama, piękna matka mojego kolegi, nosiła wspaniałe (jeszcze) futra, a my obsiadaliśmy luksusowy samochód, którym jeździła. Poznań nie był zniszczony przez Niemców, więc tam wiele „dawnych” rzeczy się przechowało. Trudno było mi się wpasować w „Nowe”, choć chciałem być po linii i na czasie. Raz w szkole pochwaliłem się, że mój tatuś pracuje w PZPR. Do babci zadzwoniła od razu przestraszona nauczycielka i zapytała: „Czy pan Ryszard rzeczywiście wstąpił do PZPR?”. Babcia mówi: „Boże kochany, jak to możliwe, co on gada. Ojciec pracuje w PZP” – Poznańskich Zakładach Papierniczych. Chciałem też jakoś uczestniczyć w przemianach. Jak Piszczyk z „Zezowatego szczęścia” chciałem się wczuć i pochwalić. Taka była wówczas w moim świecie atmosfera. A moją szkołę kolega Żmudzki widział.

P.Ż.: Ponury, pruski budynek, budzący respekt.

J.B.: Na objeździe ze studentami mieszkaliśmy kiedyś z kolegą Żmudzkiem w Poznaniu na Jarochońskiego, blisko mojej podstawówki. W szkole rano śpiewaliśmy „Rotę”. Schody były przetarte oliwą, żeby błyszcząły. Ale powiem jeszcze o czymś innym. Czasy były takie, że te wille z ogrodami stanowiły paradyzy w tym coraz zgrzebniejszym świecie. Ci ludzie, do niedawna zamożni, mieli jeszcze jakieś precjoza, które sprzedawali. Oczywiście w garażach i w ich domach mieszkali już przypadkowi lokatorzy z przydziału, już ogrody zostały podzielone na pół. Tam żyli ci nowi. Tu byli ci źli posesorzy. Jak nas okradli, to usłyszeliśmy w sądzie, że to dobrze, bo to sprawiedliwość dziejowa. Niby chciałem się włączyć w nowy świat, ale jednak był ten ogród, były te psy, które tam sobie chodziły, i ten taki spokój, i koledzy z podobnych rodzin. Obok mieszkał profesor Edward Taylor. To dla Poznania postać ważna. Ekonomista, ma nawet obecnie ulicę swojego imienia. Wszystko pachniało (oczywiście dla mnie – dziecka) takim spokojem. Taylorowi nosiłem co roku koszyk wiśni, czy też czereśni, bo nasze drzewa przechodziły przez płot na jego posesję. To był taki siwy, dobry pan. Zresztą dzięki niemu ojciec mógł studiować. W Poznaniu, tak samo jak w Krakowie, były ostre zakazy studiowania dla burżuazji. Profesor Taylor był w Akademii Handlowej, więc ojciec się tam dostał. W związku z tym został ekonomistą, do czego nie miał powołania.

To był zamknięty i zakłęty świat. Gdybym był filmowcem, na pewno nakręciłbym film o starszych paniach, które przyćmiewały moje dzieciństwo. Znajome babci, dziadka, ciotek, które niczego już nie chciały widzieć ani wiedzieć. Słuchały tylko Wolnej Europy i płakały nad tym, co się dzieje, i nad tym, że nie można znaleźć protetyka czy dentysty do ich sztucznych szczęk. Bały się zatrudnić sprzątaczkę, żeby nie ukradła czegoś z biżuterii. To były wdowy po posesorach, jubilerach, mecenasach – taka plutokracja poznańska, do której należała też moja ciotka, siostra babci, która wyszła za bogatego Niemca (optował swego czasu za Polską i jego rodacy wykończyli go szybko po wysiedleniu Polaków z Poznania). Ciotka z mężem mieszkali na Ostroroga, gdzie mieli willę. Tak więc te panie przychodziły do babci i do ciotki. To były swoiste sabaty czasu, który mijał. One miały inne ubrania, rozmawiały o czym innym niż reszta, stanowiły formację odchodzącą i ośmieszoną. Jeździły tylko taksówkami, bo nie potrafiły w tłoku tramwajem. To wszystko, niewątpliwie, wyniosłem z Poznania. Tych doświadczeń na nic nie dawało się przełożyć. Oto mityczny Poznań, z jednej strony bezpieczny, spokojny, ale z drugiej budzący świadomość, że należę do czasu przeszłego dokonanego.

P.Ż.: Przeprowadzka z Poznania do Konstancina we wczesnej podstawówce – w sensie społecznym – była przeniesieniem do innego świata.

J.B.: W Konstancinie to był taki dla nas niespotykany i dziwny świat, że matka z balkonu, a mieszkaliśmy w bloku robotniczym, w którym ojciec dostał

mieszkanie, krzyczała: „Jacek, uważaj na tramwaje!”. Pojawiły się nowe dla mnie problemy, bo okazało się, że w blokach i w domach wokół są szamba. W Konstancinie nie było kanalizacji! Ojciec pracował w Warszawskich Zakładach Papierniczych, których został nawet wicedyrektorem. Stanowi, wydaje mi się, klasyczny przykład zmian 1956 roku. Zresztą, co znamienne, rodzice i ja wyjeżdżaliśmy z Poznania w pierwszym dniu rewolty czerwcowej. Słyszeliśmy strzały. Przeprowadzaliśmy się ciężarówką, a jak ojciec wrócił po kilku dniach, to już pociąg na dworcu był obstawiony i kto był poznaniakiem, mógł iść do domu, a innych cofali. Ja zresztą później zostałem jeszcze jakiś czas w Poznaniu, zanim dołączyłem do rodziców. Konstancin miał wówczas trochę inteligencji, też zagubionej, która mieszkała w swoich lub czyichś, ale zawsze coraz bardziej niszczących willach. Zyskałem tam kilka przyjaźni, które trwały dość długo. Ale poza tym to w Konstancinie nauczyłem się dobrze bić, tam grałem w rugby i powiedziałbym, że stałem się wcale groźnym chuliganem. Już po latach, gdy w Konstancinie pojawiła się moja żona Anna, była przerażona moimi kolegami z młodzieńczych lat. Bo ówczesna Jeziorna i Konstancin nie przypominały w niczym Warszawy i były od niej dużo, dużo odleglejsze niż dziś. Jak już poszedłem do Liceum im. Tadeusza Reytana, to miałem łatwe życie, mimo że to była męska szkoła, ponieważ bójka nie była mi straszna. Krótka piłka. Nawyki podwarszawskie. W Konstancinie były bandy, które się wzajemnie zwalczały. Po paru laniach zaopiekował się mną starszy kolega, Krzysztof Pietrusiewicz. Jego brat przyrodni, Tomasz Hopfer, był później znanym dziennikarzem sportowym. Krzysztof był fanatykiem sportu, a sam wysportowany, odważny; trzymaliśmy się razem i kiedyś pobiliśmy spektakularnie bardzo groźnego osiłka traktorzystę. Pamiętam, że złapaliśmy go przy autobusie. Dostał na przystanku, jak wsiadał. Nie wiem, czy to nie wpłynęło na odebranie mi profesury. W Konstancinie miałem też bardzo dużo miłych kolegów z domu dziecka. Spotykałem ich w szkole. Wyszli ze strasznej biedy. Generalnie wszakże w Konstancinie i Jeziornej obowiązywało wtedy prawo pięści.

P.Ż.: Chcąc, nie chcąc, musimy przejść do tematów intelektualnych. Chcielibyśmy zapytać o ważne, „formujące” lektury z czasów licealnych.

J.B.: Zawsze miałem skłonność do eskapizmu, połączonego z romantycznym przekonaniem, że jestem bohaterem, który cierpi prawie za wszystkich, jeśli nie fizycznie, to przynajmniej egzystencjalnie. W związku z tym Hermann Hesse. *Wilka stepowego* znałem na pamięć. To była ciemna strona mojej natury. Próbowałem przeczytać wszystkie książki Hessego, ale nie bardzo się zgadzałem na jego hinduskie fascynacje. Odwiedziłem Całw nad Nagoldem, gdzie się urodził i gdzie jest jego muzeum. Odbyłem tam pielgrzymkę po latach, już jako dorosły człowiek, przynajmniej bardziej dorosły. *Wilk stepowy* to było coś, co pozwoliło mi przetrwać niechęć do mieszczańskich rozwiązań, również w wyda-

niu socjalistycznym. Zresztą ja miałem spełnione dzieciństwo i nie potrzebowałem stylowych mebli ani ostrołuków w bloku. Byłem na takie sprawy immunizowany. Czułem niechęć do ciepłego mleka, kapciuszków z pomponem, do zastępowania życia przedmiotami – krótko mówiąc. Człowiek powinien walczyć, wykraczać poza. Oprócz Hermana Hessego był Hašek. Nawet w czasie kontroli NIK-u w Instytucie Historii PAN stosowałem wszystkie rozwiązania z Haška, krzycząc do inspektorów NIK: „Niech żyje najjaśniejszy cesarz i jego zarządzenie nr 15!”. Całkowicie sobie używałem. To może jest dość ciekawe, że Hesse podważał materialno-bytowy sens egzystencji, a Hašek pokazywał jej miślność poprzez to, że tworzy sztuczne fasady. Więc oni się w pewnym sensie uzupełniali. Pamiętam też, że *Pani Bovary* zrobiła na mnie olbrzymie wrażenie, już nie wiem dlaczego. Próbowałem później czytać *Salambo* Flauberta – straszna rzecz. No i oczywiście czytałem książki, można powiedzieć, dziecięce: Verne’a *Dwa lata wakacji*, Kiplinga. Pamiętam też fascynację, może niedobrą, Yukiem Mishimą. Twardy facet, popełnił harakiri. Lubiłem takich, którzy rzucali wszystko. Mishima pochodził z bardzo arystokratycznego rodu. Jest film o nim. Pisał powieści, na przykład *Na uwięzi*. Yukio Mishima chciał ocalić to, co w samurajskiej Japonii było wedle niego ważne, i przeciwstawić czasom współczesnym. On należał do korpusu paziów, arystokratów, którzy byli przy cesarzu. Skończył tak, że popełnił publiczne harakiri, żeby pokazać niechęć do współczesnego świata. Było coś fascynującego w Yukim Mishimie.

P.Ż.: A co ostatecznie zdecydowało o wyborze studiów historycznych? W liceum fascynowali Pana Sumerowie i pismo klinowe.

J.B.: Szkoda, że nie było wówczas możliwości rozwoju w tym kierunku. Kupowałem słowniki pisma klinowego po rosyjsku. Inspiracją była seria książek wydawanych przez PIW (Sabatino Moscati *Kultura starożytna ludów semickich*, Noah Kramer *Historia zaczyna się w Sumerze*), a także fascynacja archeologią, która jest chyba zrozumiała. Nagle, z jakiegoś kopca, pagórka, wyciąga się mnóstwo tabliczek i odczytuje się je. Tu także pobrzmiwała nuta, że archeolog mógł być outsiderem. Mógł się plasować poza nurtem zainteresowań dnia codziennego, skupiać na czymś, co wydaje się nieważne, a daje przy okazji możliwość ominięcia wszystkich autorytetów i mądrych kierowników.

P.Ż.: No to dlaczego w końcu wybrał Pan historię?

J.B.: Bo byłem grzecznym, w pewnym sensie, chłopcem. Rodzice powiedzieli: „Słuchaj, Jacku, jak już wybierasz taki słaby kierunek jak nauki humanistyczne, to my ci będziemy, w miarę możliwości, pomagali. Ale idź na historię, to przynajmniej będziesz kiedyś uczył w szkole”. Archeologia wtedy, u schyłku lat sześćdziesiątych, była jeszcze dyscypliną bardzo egzotyczną. Żeby uprawiać ją zawodowo, trzeba było pracować naukowo. Rodzice powiedzieli jeszcze: „Jak będziesz chciał na archeologię, to później się przeczucisz”. No to poszedłem na historię i wsiąknęm.

P.Ż.: Pana studia na Uniwersytecie Warszawskim przypadły w „ciekawych czasach”. Była już mowa o czerwcu 1956 roku. W marcu 1968 roku znalazł się Pan w oku cyklonu.

J.B.: W 1956 roku to jeszcze niewiele rozumiałem. Widziałem łuski na ulicach Poznania. Wiedziałem, że to jest poważna sprawa, bo ludzie byli zatrwożeni, szeptem mówili do siebie, ale to się działo poza mną. Aczkolwiek ojciec wziął mnie, kiedy przyjechałem odwiedzić rodziców w Warszawie, na ten wielki *meeting* pod Pałacem Kultury, na placu Defilad. Widziałem morze ludzi i wielkie poruszenie. Potem zaczęły wychodzić tygodniki, które stały się bardziej kolorowe, pojawiły się w nich zdjęcia atrakcyjnych kobiet. Jako dziecko jak małpka czułem, że coś się zmienia. Ale to oczywiście lipa. Natomiast Marzec był niewątpliwie dość ważny, chociaż dla mnie nie aż tak ważny, ponieważ nie miałem złudzeń co do władzy. Zawsze byłem jej ideowo przeciwny. Nawet pomimo pewnych sukcesów władzy komunistycznej, bo jakichś sukcesów trudno jej odmówić – poruszono społeczeństwo, więcej ludzi studiowało – mieliśmy więcej tonażu jednostek pływających na głowę niż kiedykolwiek wcześniej. Można się śmiać, ale dziś, po doświadczeniu rządów Tuska i widząc to, co osiągnęły Chiny, zaczynam się wahać, czy moja rezerwa wobec Edwarda Gierka była uzasadniona. Zresztą Gierek to był wielki przewrót. Nie było już tych zaczesów, czyli partyjniaków z zaczesanymi, ulizanymi i bujnymi czuprynami o niewysokich czołach, podobnych z oblicza do wytworów sztuki Gierasimowa, który robił rekonstrukcje twarzy ludzi, powiedzmy, pierwotnych. Nastąpiło otwarcie na świat. Pierwszy sekretarz dał 50 dolarów. Zjeździłem za nie całą Jugosławię. Oczywiście to wszystko było pod warunkiem nieinteresowania się polityką, czy nawet skromniej – sprawami społecznymi.

Wracając do Marca. Dla większości moich kolegów, którzy przeważnie związani byli w jakiś sposób z lewicą, był on szokiem. Mnie najbardziej w Marcu poruszyło to, że studenci krzyčili na milicję: „Faszyści!”. Dla mnie faszyści byli bardzo jasno zakwalifikowani. To byli Niemcy i inni, pochodni. Ja bym się nie odważył krzyknąć: „Faszyści!” czy „Gestapo!”, chociaż na pewno byłem większym przeciwnikiem komunistów, niż ci, którzy tak krzyčili, i którzy, z reguły, byli beneficjentami komunizmu, tak jak ich rodzice. Pamiętam, że raz mnie w Marcu zamurowało i wtedy zrozumiałem, czym jest Uniwersytet Warszawski, i kto tam studiuje. Rozmawiałem z bardzo sympatyczną koleżanką. Jej ojciec był ministrem albo wiceministrem. Nie podam nazwiska ani resortu. To było tego dnia, kiedy nas wypałowali z Uniwersytetu. Był taki zapluty placyk, teraz piękny, między drugim wejściem do Instytutu Historycznego, wówczas to była Biologia, a budynkiem Szkoły Głównej. Po prawej stronie były śmietniki i dalej przechodziło się na tyły kawiarni Harenda, tak jak teraz. Te śmietniki były takie polskie, czyli duże, trwałe i zaśmiecone. Pałowaliśmy nas Golędzinów.

Oni nie bili bez potrzeby. Chcieli nas wyrzucić. Takie mieli zadanie. Po paru machnięciach pałami zepchnęli nas kordonem na płot. Ja z koleżanką sforsowaliśmy więc ten wcale wysoki płot. Każdy uciekał, jak mógł. Potem odprowadziłem koleżankę do domu, do Alei Róż zresztą. Na wysokości pałacyku ZBOWiD-u, Lanciego, wywiązała się rozmowa. Ona stanęła i wybuchła płaczem. To była scena filmowa. Szkoda, że nie dało się tego utrwalić na taśmie. Łkając, powiedziała tak: „Jacek, przed wojną to było prosto. Byli komuniści i faszyci”. Chciała powiedzieć, że dzisiaj jest ciężko, bo ich władza ich bije. Słuchając jej, zrozumiałem, że Polska przedwojenna, która dla mnie była Polską prawdziwą, dla niej sprowadza się do faszystów i komunistów. Jej zdaniem oczywiście komuniści mieli rację. A teraz, w Marcu, nie wiadomo, kto rządzi, jacyś narodowcy, Moczar i inni. Ta rozmowa pokazała mi, że Leibniz miał rację: jesteśmy monadami i cześć!

Byłem zaprzyjaźniony wtedy (zakolegowany może lepiej) z Adamem Michnikiem. Najbardziej zbliżyły nas mocne kubańskie papierosy. Spotykałem go też na gruncie towarzyskim i ocierałem o te grupy, które robiły Marzec. Nie pretenduję, nawet odrobinę, do roli bohatera, ale o jednym powiem, bo to jest historycznie zabawne. Nieprawdą jest, że ktoś inny – to właśnie ja podstawiłem ławkę Wiktorowi Góreckiemu, który wszedł na nią, przemówił – i Marzec się rozpoczął. Na pewno są jakieś archiwalne zdjęcia na dowód moich słów! Wyskoczyliśmy z zajęć (z filozofii prowadzonej przez doktora Płużańskiego), gdy grupka inicjatywna pojawiła się na placu przed BUW-em (dziś starym). Oni wcześniej, słyszałem, spotkali się w Harendzie. Była tam też Teresa Bogucka, którą przez jej braci trochę znałem. Nastąpiło pierwsze przemówienie. Słuchających było mało, 30–40 osób. Niewątpliwie druga strona chciała „nakręcić” studentów, podgrzać i skondensować sytuację.

Z Marca pamiętam jeszcze, że wszedłem na bramę główną Uniwersytetu, żeby coś tam zawiesić. Wszedłem na samą górę, aż się zdziwiłem. To bardzo ciekawe doświadczenie. Chyba moje najciekawsze na Uniwersytecie Warszawskim. Ale muszę powiedzieć, że w grupie koleżeńskiej na roku, jakiegokolwiek mieliśmy poglądy, pozostaliśmy razem. Na bieżąco nie dostrzegało się przypadków doniesień – współpracy (po czasie okazało się, że ich nie brakowało), choć widać było, kto chce na Marcu zrobić karierę. Nasze przyjaźnie generalnie wszakże przetrwały. Poczuliśmy się jak napadnięci i mieliśmy świadomość, że władza nie lubi inteligentów. Jak się nie było Żydem czy rewizjonistą (rewizystą, jak mówili na Studium Wojskowym wykładowcy) albo kimś innym, to się było intelektualistą – i to był wystarczający powód, żeby władza nie darzyła nas uczuciem. Spotykałem w następnych latach „buntowników lewicy” na gruncie towarzyskim. To środowisko było coraz szersze, ale nie brałem w ich działaniach udziału. Trzeba było dużo czasu, żebym im prawie uwierzył, a oni też mieli

przed sobą długą drogę do „wynormalnienia”. Wspomnę jeszcze o jednym typowym dla tamtego czasu terenowym odprysku Marca. Bezpieka znalazła drogę do ojca, bądź co bądź wicedyrektora dużego socjalistycznego zakładu pracy w czerwonym Mirkowie w Jeziornie, i rozmawiała z nim na temat syna. Nie powiedział mi nic bliższego na temat tego spotkania (nasz telefon prywatny był wszakże na podsłuchu), poprosił mnie tylko, żebym uważał i poszedł na głosowanie, które było po Marcu, jeszcze w 1968, czy może już w 1969 roku.

P.Ż.: Na przekór władzy z czasów Marca wróćmy do tematów intelektualnych, do kwestii lektur, zwłaszcza takich, które można by powiązać z późniejszymi Pańskimi zainteresowaniami naukowymi. We wstępie do *Polskich dziejów bajecznych Mistrza Wincentego Kadłubka* wspomina Pan J.R.R. Tolkiena i *Grę szklanych paciorków* Hessego.

J.B.: *Gra szklanych paciorków* – kto wie, czy to nie jest najważniejsza dla mnie książka z punktu widzenia metody. Tam została sformułowana, jak na te czasy, kiedy czytałem *Grę szklanych paciorków*, zupełnie obłądna koncepcja tłumaczenia na przykład jakiejś linii melodycznej na schemat budowy domu chińskiego. „Ktoś... opracował nader dokładnie historię madrygału, a w rozwoju stylistycznym dostrzegł pewną krzywą, którą odnotował muzycznie i matematycznie [...], inny przebadał rytmiczne właściwości łaciny Juliusza Cezara i odkrył w niej niezwykle uderzające zbieżności z rezultatem znanych dociekań dotyczących interwałów w bizantyjskim śpiewie kościelnym”¹. Wykład Hessego był tak przekonujący i tak metodologicznie ciekawy, że przyjąłem go bez zastrzeżeń. To była pierwsza lekcja strukturalizmu, rozumianego w ten sposób, że każdy obiekt ma pewną logikę, utrwaloną w swej postaci „materialnej” – coś przecież trzeba powiedzieć, coś trzeba zrobić, coś trzeba zagrać – ale także w porządkującym zewnętrznym szkielecie ideowym, które razem nadają kształt-osobowość konstrukcji. Należy odkryć zasadę, wedle której powstaje dany twór, pokazać, jak waloryzowane są we wzajemnych stosunkach i w ramach takiej całości poszczególne elementy. Gdy tak otworzy się strukturę utworu, można było przejść do najciekawszych zadań – do wskazania podobnych układów, realizujących się w zupełnie różnych dokonaniach. I lubiłem tę Kastalię. Wczuwałem się, że ja też jestem *magister ludi* i że jest gra, prowadzona metodą rozwiązywania zadań intelektualnych i pokazywania tożsamości rzeczy, spraw, wytworów intelektualnych – na pierwszy rzut oka zupełnie różnych – poprzez dotarcie do ich klucza, żeby nie mówić o strukturze. Hesse chyba żartował sobie intelektualnie, w pewnym sensie, ale wydaje mi się, że takie porównania są

¹ H. Hesse, *Gra szklanych paciorków: próba opisu życia magistra ludi Józefa Knechta wraz z jego spuścizną pisarską*, przeł. M. Kurecka, Poznań 1971, s. 137.

możliwe. I wierzę do tej pory w pewnego rodzaju poziomy intelektualne, na których wychodzi na jaw tożsamość rzeczy czy spraw bardzo różnych pod każdym względem. „W grze szklanych paciorków możliwe musi być wszystko, nawet to, że na przykład pojedyncza roślina zacznie z panem Linneuszem rozmawiać po łacinie”².

J.K.: *Grę szklanych paciorków*, jak i książki Tolkiena, ale także Franciszka Rabelais’go, którego, jak wiem, wysoko Pan ceni, można uznać za wizje światów opartych na nierozpoznanych ostatecznie regułach, odległe od porządku doświadczenia życia codziennego. Czy ta odmienność światów wykreowanych da się przełożyć na doświadczenie obcości, które zapewne towarzyszyło Panu przy wnikaniu w problematykę epoki średniowiecza? Czy to bliskie antropologii doświadczenie epistemiczne mogło stać się podstawą wyjściową prowadzonych później przez Pana badań historycznych?

J.B.: To ciekawe pytanie. Na pewno mogę powiedzieć, że świadomie to nic mi nie towarzyszyło. Nie jestem człowiekiem, który rozgrywa życie tak, że wie, co należy robić. Na potrzeby tej „wiwisekcji mnie”, którą tutaj robimy, na pewno mogę powiedzieć, że przez całe życie towarzyszyło mi nie tyle poczucie obcości, co niemożności pełnego i radosnego uczestniczenia. To jest w pewnym sensie obcość. Ja patrzę przez szybę i jest bardzo miło. Nie oceniam tego negatywnie. Jest jakieś *iunctim* między postawą życiową a działalnością naukową. Może ono polegać na tym, jak sądzę, że ja nigdy „nie wiem”. Nigdy bym się nie odważył założyć, że ja coś zrobię dobrze, albo na pewno. Taką mam postawę. Od dziecka unikałem zaklasyfikowań. Gdy Stanisław Trawkowski mówił o mnie „historyk”, to ja mówiłem, że nie jestem historykiem. Bałem się, że kategoryzacja, nadanie mi jakiegoś bytu, po prostu mnie zmieni czy zabije. Bałem się, że ja coś będę musiał robić wedle czegoś, o czym wiem, że tego nie ma.

J.K.: Dla wielu obawa, o której Pan mówi, kojarzyć się może z dylematami Michela Foucaulta. Jak widać, nie był on jedynym humanistą borykającym się z poręcznością prostych zasad klasyfikacyjnych.

J.B.: Foucaulta najsłabiej znam i najmniej go rozumiem. U Rabelais’go czy Haška debilem jest ten, kto myśli, że ma sposób na rzeczywistość. Mnie zawsze dobrze było w wojsku [śmiech], ponieważ wiedziałem, że tam są sztywne reguły. I wiedziałem, że nie należy ich krytykować. Przejrzysta rzeczywistość. Zawsze mnie to cieszyło, że sprawa jest załatwiona. No bo jak przeprowadzić ćwiczenia? Trzeba mieć sygnały, środki, sposoby, miejsce itd. Sygnały się daje gwizdkiem, chorągiewką, i po sprawie. Proste i jasne. Tu leży chyba największa różnica w metodzie, między mną a historykami wcześniejszymi. Oni wiedzieli, jak życie

² Ibid., s. 138.

przebiega. Tak jak historycy angielscy, którzy wiedzieli, jak działa imperium, i co trzeba zrobić, żeby działało. W związku z tym badanie sprowadza się do zastosowania wiedzy własnej o świecie do różnych przypadków, na przykład starożytnego Rzymu. W przeszłości nie mogło być inaczej niż w ich uporządkowanym świecie. Ponieważ ja tego świata nie miałem, w związku z tym zawsze zajmowałem się duperelami, czyli takimi rzeczami, w których nie chodziło o pokazanie, jak jest naprawdę, czy jak było, tylko o spróbowanie, jak w to się gra. Co właściwie robi badany przeze mnie autor, jak on to robi, za pomocą czego? Dlaczego te teksty są podobne? Czy to coś znaczy, czy nie? Przede wszystkim uwolnienie się od wszelkich nakazów, zakazów i pewnych wiadomości skutkowało tym, że trzeba było próbować i patrzeć dokładnie, jak się rzeczy mają, bo inna droga wydawała się zła. Diagnoza tak pomyślanego stanu faktycznego zajmuje zaś tyle czasu i wymaga tyle trudu, że historyczna rzeczywistość pozostaje daleko w sieni mgły. Natomiast historyk „prawdziwy” wchodził i mówił: „Znam źródła i zaraz powiem, jak przebiegały dzieje”. Niemoc poznawcza w stosunku do świata jest dla historyka lepsza niż wiedza, jak ten świat wygląda.

P.Ż.: W trakcie Pana studiów ukazało się polskie wydanie *Antropologii strukturalnej* Claude’a Lévi-Straussa. Wiem, że toczył Pan, jako student, długie rozmowy o Lévi-Straussie z profesorem Benedetto Bravo, wówczas adiunktem w Instytucie Historycznym UW.

J.B.: Przez profesora Bravo parę razy poszedłem na pochód pierwszomajowy, przyznając się [śmiech]. To jest osoba, z którą nie udało mi się zaprzyjaźnić, chociaż próbowałem. On chyba bardzo chroni swoją prywatność, a może nie chciał akurat ze mną wdawać się w bliższe znajomości. Jego pojawienie się na Uniwersytecie w czasie moich studiów było fantastyczne. Niezwykle ciekawe miał wykłady. On lepiej niż ktokolwiek u nas kontrolował to, co można by nazwać historią myśli i historią historiografii, i świetnie o tym mówił. Pokazywał, że refleksja nad starożytnością i innymi epokami to nie makulatura, że rozwijała się ona bujnie i była (zwłaszcza w ujęciu Profesora) ekscytującym zapisem wielkich problemów nurtujących kolejne generacje intelektualistów. Pochód pierwszomajowy to była dobra okazja, ponieważ zanim on się uformował, można było długo rozmawiać z profesorem Bravo. To jest oczywiście ładne *exemplum*, jak sądzę, ale profesor Bravo istotnie był bardzo przystępny, jeśli chciało się go o coś zapytać. *Summa summarum* ostał się na stanowisku metodologicznym dość tradycyjnym, z wiarą, że rzeczywistość jest różna, właściwa, swoista dla epoki. Nie chciałem go krytykować w żadnym wypadku. Pamiętam jednak takie spotkanie. Zrobiliśmy wspólne ćwiczenia. Chciałem go przekonać, że to, co pisze Herodot o Dejokesie i Kosmas o Kroku, to są te same chwytliwy-rozwiązania (znaki podobnych, czy bardzo zbliżonych problemów). Zdaje się, że go wtedy pokona-

łem, a może wyszło na remis, ale ze wskazaniem na mnie [śmiech]. Wspomniani bohaterowie uwikłani są w bardzo podobne fabuły – i on był tym zafascynowany, ale nie chciał, żeby historia się „powtarzała” i niechętnie podchodził do tego, żeby dostrzec podobieństwa myślowe chwytów poznawczych. Było wszakże zabawnie. Wtedy byłem dość buńczuczny. To było na początku mojej pracy na Uniwersytecie Warszawskim w latach dziewięćdziesiątych.

P.Ż.: Wróćmy do czasów studenckich. Dlaczego wybrał Pan seminarium profesora Stanisława Piekarczyka i jak Pan je wspomina?

J.B.: Na początku chciałem być starożytnikiem – nie miałem co do tego wątpliwości. W związku z tym dość wcześnie, już na drugim roku, zacząłem chodzić na seminarium do pani profesor Izy Biezuńskiej-Małowist. To było bardzo klasyczne seminarium, z propozografią. Lubiłem je. Miałem już nawet temat pracy magisterskiej. Profesor Biezuńska czule się mną opiekowała – to dobre słowo. Później te czułości przeniosła na Włodzimierza Lengauera. I on pozegłował dalej jako starożytnik. Ja uważałem, że studia powinny być czymś innym. Fajnie, że studia nie były wtedy takie scholarskie. Myśmy mieli prawo, a nawet wewnętrzny obowiązek czegoś poszukiwać, pytać, rozmawiać. Toczyliśmy znakomite rozmowy. Nie wiem, czy teraz tak studenci rozmawiają przy jakiejś alpadze czy na piwie. My mieliśmy ten luksus, że nie było jeszcze tego skomercjalizowanego świata, w którym musielibyśmy zająć miejsce. Interesowały nas różne rzeczy. Pamiętam, że wyszła wtedy *Struktura rewolucji naukowych* Thomasa Kuhna. Jak ja to przeczytałem, to o czym miałem z Biezuńską rozmawiać? A z Piekarczykiem można było, bo on też czytał Kuhna. Co więcej, znał Stefana Amsterdamskiego i nawet coś jeszcze o Karlu Popperze mógł mi dorzucić. Profesor Stanisław Piekarczyk prowadził przecież całkiem porządne seminarium niemieckie i skandynawskie. Zajmował się światopoglądem ludzi wczesnego średniowiecza, czyli bogami i mitologią Germańszczyzny. Jego książka *Barbarzyńcy i chrześcijaństwo* jest naprawdę dobra, zwłaszcza jak na swoje czasy. Proszę poczytać angielskie książki z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych. Mnóstwo jest tam euhemeryzmu i niepoważnego stosunku do religii. Pamiętam, że Geremek kibicował tej publikacji (wtedy, jeszcze jako student, go poznałem) i mogę tutaj zdradzić, że to on wymyślił tytuł. Byłem przy tym. Geremek przyszedł na seminarium Piekarczyka. Książka była już gotowa, ale nie miała tytułu. Geremek powiedział: „To może *Barbarzyńcy i chrześcijaństwo*?”. Na co Piekarczyk: „No dobrze. Niech będzie twój tytuł”.

Na seminarium wiele się dowiedziałem o kulturowych mechanizmach działania władcy średniowiecznego. Piekarczyk dużo czytał i chciał być takim prawdziwym profesorem. I stale mu się nie udawało, bo nie robił tego, czego oczekiwano. Zajmował się za dużo metodologią, co w Instytucie Historycznym było traktowane jako deprecjonujące zboczenie. Bo kto się zajmuje metodologią?

Sprzątaczkę chyba tylko, gdy nie potrafią czegoś normalnego i pożytecznego zrobić. Oczywiście sprzątaczkę naukową. Później profesor Piekarczyk zasklepił się, obrał takie ścieżki, które nie prowadziły zbyt daleko, a przynajmniej nie tam, dokąd poszła nauka, ale cenię go i bardzo ciepło wspominam; zawdzięczam mu kontakt z matematykami, logikami, którzy przychodzili na jego seminarium. To była ciekawa osoba. Zabawne, że całkowicie różniliśmy się poglądami politycznymi. Pomimo tego bardzo się lubiliśmy i szanowaliśmy. On miał żonę komunistkę, Serbkę, chyba. Miała na imię Zorka, chyba. Piekarczyk bardzo lubił psy. Raz przyszedł i powiedział: „Słuchajcie, odwołuję wykład, bo jestem niewyspany. Suczka mi się oszczeniła. Musiałem przyjmować poród”. Był z nim taki normalny kontakt. Opowiadał o swoich studenckich doświadczeniach w Krakowie. Tam wszyscy przeszli przez AK i konspirację, i on nie miał możliwości nawiązania z nimi partnerskiego dialogu. Miał inne poglądy. Skończył też tę wyższą szkołę partyjną i to na nim ciążyło. Nawet przy pewnej tolerancji dla nowej komunistycznej wiedzy ta szkoła to już było nieco za dużo. Potem Stanisław Piekarczyk działał w dyplomacji, aż trafił na UW. Był sekretarzem partii w Instytucie w czasie Marca. Cały czas się spotykaliśmy. Ani on nie donosił, ani ja nie donosiłem. Mówiliśmy sobie codziennie o tym, co się dzieje. On kiwał głową. Jako „pierwszy sekretarz” kogo mógł, tego bronił, a przynajmniej nie szkodził. Łza się w oku kręci, gdy o nim myślę. Dał mi ciekawy temat na doktorat, którego nie zrealizowałem. Temat był dość prosty. Zacząłem od *Methodus ad facilem historiarum cognitionem* Jeana Bodina, jednego z pierwszych tekstów metodologicznych. Chodziło o przesłanki ideowe wiary w praktyczną pomoc historii. Miałem rzecz ukazać w perspektywie okresu przejściowego między XV a XVI wiekiem, żeby zobaczyć, jak wówczas rozumiano pragmatyczną siłę historii. Miałem więc być historykiem myśli. Nie takim metodologiem „czystym”. Wkrótce zarzuciłem tę tematykę, ale trochę w tej materii przeczytałem.

J.K.: Dlaczego zrezygnował Pan z tej tematyki?

J.B.: Ponieważ nie zatrzymano mnie na Uniwersytecie i w niecały rok po zakończeniu kariery tamże trafiłem do Instytutu Historii PAN. W PAN-ie jako doktorant dostałem inny temat.

P.Ż.: Zanim przejdziemy do pracy doktorskiej, chciałbym zapytać o jeszcze jedną ważną postać. Wiem, że uważa się Pan w jakimś stopniu również za ucznia Aleksandra Gieysztora.

J.B.: I tak, i nie. Niewątpliwie była to osoba, która bardzo dużo dla mnie zrobiła, nie tylko w sensie intelektualnym, ale i praktycznym. Znowu obawiam się, że zabiorą mi wszystkie tytuły, ale Aleksander Gieysztor był recenzentem mojej pracy magisterskiej, doktorskiej i habilitacyjnej. Był permanentnie moim supervisorem. Nigdy formalnie nie byłem jego uczniem. Nie chodziłem na jego

seminarium jako student. Zaczęłam dopiero od połowy lat osiemdziesiątych, w czasach kryzysu w ogóle i tego seminarium także. Wtedy pisałam *Polskie dzieje bajeczne Mistrza Wincentego Kadłubka*, a przynajmniej robiłam do nich przyimiarki. Ale kontakt z Panem Profesorem miałem zawsze, może i dlatego, że znał dobrze mojego teścia z konspiracji. Jak to było z profesorem Gieysztorem? To jest wspaniała postać; potrafił towarzysko i naukowo zaprzyjaźnić się z osobą młodszą, która nie zawsze robiła to, co on. To jest zwyczaj, którego nie ma na naszych uniwersytetach. Ja starałam się naśladować profesora Gieysztora w swoich kontaktach z młodszymi kolegami. Można się różnić, ale pozostać otwartym. Mogłam zawsze na niego liczyć. Interesował się tym, co robiłam. Miałem w nim kapitalnego partnera, który czytał i sprawdzał to, co napisałam. Łączyła nas miłość do Georges'a Dumézila. Bo on też go lubił, chociaż miał swoje zastrzeżenia. Ta miłość do Dumézila była u niego dość duża. Dumézil miał zresztą przyjechać do Warszawy w 1986 roku, czyli w roku, w którym zmarł. Wizyta była już przygotowana. Była jeszcze jedna nić porozumienia: profesor Gieysztor – i ja z nim – wierzył w mitologię Słowian. W tej wierze mnie wzmocnił. Profesor był niezwykle dobrze wychowany, tak że na Henryka Łowmiańskiego skrzywił się tylko raz i tylko prywatnie, ale nie cierpiał jego doktryny i jego hiperkrytycyzmu. Zresztą Gieysztor rozumiał, że to jest walka o coś więcej. Nie tylko o mitologię, ale o miejsce kultury słowiańskiej w świecie cywilizacji wyższych. Żeby nas nie zepchnąć do smutku śmietników leśnych, polskich.

Właściwie to jednak nie miałem mistrzów w sensie w pełni naukowym. Nikt się do mnie specjalnie nie przyznawał, a ja też z kolei tego nie wymuszałam. Może rzeczywiście najbardziej profesor Gieysztor, ale trudno powiedzieć, że byłem jego uczniem. Jest jeszcze jedna ważna postać: profesor Bronisław Geremek. Dużo mu zawdzięczam. Był moim szefem przez długi czas, ale im byłem starszy, tym bardziej darliśmy koty. On miał wyraźny model badania historii społecznej, takiej kulturowo podbarwionej, i wiedział, jak to się robi. Miał opanowaną perspektywę francuską. Zresztą jego książką *Najemna siła robocza w rzemiośle Paryża XIII–XV wieku* byłem zafascynowany. Jak ją przeczytałam, byłem wzruszony. Kupiłam ją sobie, gdy byłem na studiach, albo jeszcze pod koniec szkoły. Geremek wierzył w ekonomię, w rzeczywistość, w prawa historii, w rozwój. O to był między nami spór. Później już nie było możliwości znalezienia jakichś mistrzów, ale do istotnych relacji z wieloma osobami się przyznaję. Na przykład z profesorem Benedyktem Zientarą, z którym miałem dobry kontakt. Jego fascynowała literackość źródeł i nie bardzo wiedział, co z tym zrobić. Był człowiekiem życzliwym i moje „odchyły” w tym kierunku go zaciekawiały. Po doktoracie cieszyłem się jego wsparciem. Szkoda, że zmarł tak szybko. Instytut Historyczny UW byłby inny, gdyby żył dłużej. To była wybitna postać, człowiek z osobowością, budzący szacunek.

P.Ż.: Chciałbym wrócić jeszcze do Pana pracy magisterskiej. Ukazała się ona drukiem pod tytułem *Nerwice społeczne jako problem badawczy dla historyka*. To był ciekawy flirt z psychohistorią, od której Pan zresztą szybko odszedł.

J.B.: Wierzę, że tak powinny być robione badania. Nasz wspólny kolega, doktor Wojtek Jezierski, jest mi bliski w tym sensie. Tylko on jakby trochę za słabo robi tę historyczną część, a za mocno tę psychologiczną. Teraz już się boję pewnych tematów, ponieważ nie byłbym w stanie obrobić ich od strony metodologicznej, ze względu na biblioteki, na obowiązujący u nas tryb pracy historyka, na brak kontaktu z przedstawicielami innych dyscyplin. Badane przeze mnie tańce w kościołach i ruchy biczowników to są oczywiście dwa różne zjawiska. Szukałem natomiast *iunctim* i wierzyłem, że można je znaleźć, że oba zjawiska będą się tłumaczyły w psychologicznej teorii odreagowania, symbolicznego reagowania na zagrożenia, które nie mogą być na zimno i praktycznie przezwyciężone. Poszukiwałem rozwiązań. Profesor Piekarczyk sugerował mi jakieś. Niewątpliwie chciałem być nowoczesny. No i znalazłem teorię stresu. Ona miała pewne atuty. To było fascynujące, gdy czytałem prace amerykańskie o pilotach bombowców z drugiej wojny światowej, którzy w czasie akcji mieli awarię samolotu. Po wykonaniu wszystkich czynności praktycznych, gdy nie przynosiły skutku, członkowie załogi starali się „rzecz odpukać”, albo modlili się, albo śpiewali piosenkę, zwykle przynoszącą im szczęście. W każdym razie działali symbolicznie. Wtedy był już dostęp do zagranicznych prac. Przydał mi się, choć może mniej go użyłem, Vittorio Lanternari, który badał współczesne ruchy religijne w Brazylii, będące reakcją na traumy społeczne, zapaści, kryzysy. I wydaje mi się, niestety, że historyk ślizga się po pianie tortu. Żeby być prawdziwym badaczem, powinien pozostać historykiem, ale zejść też głębiej. A głębiej jest już twarda – czy twardsza – nauka. Znam pewną niedawno wydaną psychologiczną pracę o pamięci autobiograficznej. Gdyby ktoś przeczytał tę książkę i pokrewne, to może nie trułby tak o tej *oral history* i innych duperelach, powtarzanych za Walterem Ongiem czy innymi nawiedzonymi Amerykanami od stu lat. Bo wiele wiadomo na temat tego, co można zapamiętać, i jak się „zapamiętuje”, jaka jest deformacja materiału, jak się układa pamięć autobiograficzna. Jakbym badał jakiś pamiętnik średniowieczny, to bez tego bym nie podchodził. Dlatego nie badam, bo w mojej sytuacji za dużo starań i czasu by rzecz wymagała. A lepiej zawsze jest ładnie napisać, że Guibert z Nogent wspomina dzieciństwo, a Villon matkę. I tu widzę małość historyków.

J.K.: Czyli ta twarda nauka daje nam dostęp do świata, który nie jest kulturowo modelowany?

J.B.: Nie, nie. Twarda nauka może być czasami miękka. Psychologia nie jest taka twarda. Jest natomiast kumulowana, doświadczana empirycznie i sprawdzalna. A historyk, jeśli jest „wybitny”, to sam i na własny użytek tworzy całą

wiedzę o przedstawianej rzeczywistości. Potem Pan ją bada i okazuje się, że to wszystko są jedynie wypowiedzi kolegi X. Bo są oparte na zbyt płytkiej refleksji naukowego rozpoznania. Nie zachęcam do redukcji historii do jakiejś innej nauki czy nauk przydatnych w rozpoznaniu badanej materii, ale jej obecną samodzielnością nie jestem zachwycony. Jest wystarczająco dużo miejsca dla nas, żeby zweryfikować, zaklasyfikować, rozpoznać i opisać jakąś sytuację-zjawisko. Bo potem, z cudzą pomocą właśnie, my na tym coś ciekawego możemy zbudować. Tak, jak czynią to doktor Michał Tomaszek czy doktor Wojtek Jezierski, podchodząc do kroniki klasztoru Sankt Gallen. Wiadomo, że badając środowisko mnichów, powinniśmy coś wiedzieć o społeczności zamkniętej, wojskowej, więziennej itd., gdzie jest mocna i jasna hierarchia władzy, zależności. Możemy oczywiście pisać ogólnie – i to jest fajne – ale jeżeli chcemy uprawiać naukę, to nie ma innej drogi.

J.K.: Pojawia się tutaj jednak pewien niepokojący mnie uniwersalizm. Wiedza na temat społeczności zamkniętej jest uniwersalnie przekładalna na poszczególne światy, czasy, społeczności?

J.B.: Tak, bo ona jest zamknięta w problemie czy sytuacji – nie w epoce. Są zadane pewne parametry. Oczywiście można powiedzieć, że człowiek jest zmienny i zapytać na ile. Ale to będziemy mogli zobaczyć dopiero, gdy włączymy tę sytuację. Człowiek jednak – i to historyk czuje – nie jest aż tak zmienny. Nie chcę rozwijać tego wątku, ale są pewne stale dające o sobie znać potrzeby kulturowe i społeczne, różnie realizowane, ale są. Pojawiają się więc określone sytuacje społeczne czy sytuacje narracyjne – wypowiedzi. To jest obojętne, czy biskup stoi nade mną, czy kierownik, czy dowódca wojskowy, czy jakiś despota. Powstaje sytuacja zamknięta, dookreślona, która wymusza pewne zachowania na jej uczestnikach, i trzeba znać jej odpowiednie parametry i mechanikę. Podobnie uruchomia się ona w planie wypowiedzi, gdy chcemy kogoś zganić, o coś poprosić itd. Nie twierdzę, że po prostu bierze się je i przenosi z epoki w epokę, ale trzeba je znać. Od dookreślenia takich sytuacji (problemów) trzeba na pewno zaczynać! Ale cóż to dla historyka! Widzi amorficznie. Bierzemy bowiem, co chcemy z każdej narracji, rozbijamy każdą sytuację i nic nas nie obchodzi, czym ona sama jest pod względem swego kształtu, rodzaju, gatunku, kontekstu. Wyrывkowo łapiemy potrzebną nam wiadomość i cześć! „Streszczamy” ją po swojemu. Dlatego uważam, że historia, tak jak się ją uprawia na polskich uniwersytetach, jest opowiadaniem przeszłości. Takie gawędziarstwo. Dlatego też sam zawsze mówię, że mój wykład jest gawędą. Gdybyśmy zaczęli prowadzić poważne ćwiczenia, a można to zrobić (tyle że nie w naszych szkołkach ludowych wyższych), to trzeba przygotować (obrobić) teksty, wskazać i uruchomić odpowiednie teorie, rozwinąć komparatystykę, znajdując źródła przydatne do ukazania naszego problemu

w głębszej perspektywie, wzbogaconej o inne realizacje. Wtedy mamy ćwiczenia. Nie tam, że Długosz urodził się w Brzeźnicy i tak dalej. To jest potrzebne w jakimś momencie, ale z pewnością nie najważniejsze.

J.K.: Jeśli dobrze zrozumiałem, chodzi więc o użycie pewnej teoretycznej ramy, chwytającej na przykład problem ludzkich zachowań w grupie zamkniętej – ramy, która użyta do konkretnego zaczyna grać różnymi kolorami, w zależności od materiału, do którego ją zastosujemy. Cały czas interesuje mnie, jak widać, problem odmienności kulturowej, którą się postuluje w perspektywie antropologicznej, i adekwatność naszych ram do badanych światów Innych.

J.B.: Uciekłbym chętnie od tej inności, bo nie chcę głową uderzać w mur czy w pewne przekonanie. Powiedziałbym tak: historyk nie ma problemów i nie stawia problemu badawczego (zapowiada raczej, o czym będzie pisał – o Mieszku I, wojnach Bolesława Chrobrego itp.). Z reguły dewastuje materię swoich źródeł w bezpardonowym poszukiwaniu jemu potrzebnej wiadomości i dowolnie, bez względu na autonomiczny świat rzeczywistości przedstawionej, w swoim mniemaniu odsłania minione dzieje. Gdzie tu miejsce dla inności, czego od czego czy kogo od kogo?

J.K.: Chodzi tu o postać „prawdziwego” historyka, w Pańskiej definicji wyłożonej w tekście *Zamach stanu w Gnieźnie*...³

J.B.: Tak. „Prawdziwy” historyk uważa, że to, co się kiedyś wydarzyło, zastygło raz na zawsze w swym prawdziwym kształcie, a zadaniem badacza rzetelnego jest ową historyczną skamielinę odsłonić poprzez sporządzenie jej opisu. Opisuje więc wojny, wyprawy, rokowania itd., a opisanie polega na stwierdzeniu (im dokładniejszym, tym lepszym): gdzie rzecz się toczyła, kiedy, jacy byli aktorzy zdarzenia, co robili w perspektywie sekwencji czasowo-prze-strzennych swoich działań itd., itp. A naukowe podejście badacza wyczerpuje się np. w znajomości logistyki wojskowej danego okresu, form kancelaryjnych i dyplomatycznych epoki, mody, gdy pisze o tzw. kulturze itd. Wobec istnienia prawdziwego oblicza historii-przeszłości prawdziwy historyk szczególnie zacięcie walczy ze wszelkimi od tego prawdziwego oblicza dziejów odstępstwami, wskazując prawdziwe świadectwa i fałszywe (wymyślone, przekręcone, zmanipulowane itd.) i zbyt często zapomina, że sam nie zna wzorców prawdziwości, których istnienie postuluje i do których po trupach dąży. Chętnie posługuje się faktami historycznymi, podstawowymi składnikami dziejowej (prawdziwej) mozaiki, uważając, że są dobrem historycznym, a nie efektem kreacji uczzonego. W sumie im bardziej dąży do tego, jak to naprawdę było, tym arbi-

³ Vide w tym tomie: J. Banaszkiwicz, „Zamach stanu w Gnieźnie”, czyli kilka uwag na marginesie książki „Podanie o Piaście i Popielu”.

tralniej, czyli samodzielnie, tworzy obrazy „obiektywnej” przeszłości. Na przykład potrafi powiedzieć, i to dokładnie, co bohater historyczny takim czy innym posunięciem zamierzał, zna mechanikę działań politycznych figur na szachownicy epoki, potrafi nawet powiedzieć, co znajdowało się w utworach wspomnianych tylko z tytułu przez kronikarza, a w ogóle nieznanych. Prawdziwy historyk czerpie wielką radość z poukładania świata przeszłości. Nie potrafi zataić dumy (jak szaman) z faktu nad nim panowania. Nie bada więc wypowiedzi o przeszłości, z reguły też marginalizuje ich skomplikowane i autonomiczne struktury, lecz *per nefas*, często bezrefleksyjnie i automatycznie, ściąga je z ich naturalnego metapoziumu w stosunku do rzeczywistości i wciska w samą rzeczywistość i ją właśnie, jak mu się zdaje, bada. Wtedy wie wszystko, lub prawie wszystko.

P.Ż.: Ucieczką od gawędy historycznej można objaśnić także projekt Pana doktoratu – badanie kroniki Dzierzwy – który zaczął Pan realizować po przejściu do Instytutu Historii PAN.

J.B.: Oczywiście narzucono mi ten temat, ale to dobrze. To były stare czasy, kiedy doktorant był nikim. I handlowało się nim na targu profesorskim jak kapustą. Ja zostałem przydzielony profesorowi Jerzemu Dowiatowi. Był to tradycyjny historyk, bardzo miły człowiek o ciekawej biografii, z którym miałem bardzo dobry kontakt. Nie istniało między nami porozumienie na płaszczyźnie metodologicznej. Jednak Dowiat był kulturalny i miał wycucie. Powiedział: „Niech pan robi, co pan uważa za stosowne”. Stałem przed problemem: Co ja mam z tą kroniką, wskazaną mi jako obiekt badawczy, zrobić? Opowiedzieć, co tam jest w środku? Czy może omówić rękopisy? Ale okazało się – bowiem utwór bardzo mocno wykorzystywał narrację mistrza Wincentego – że ja nie wiem, co to w ogóle jest ta kronika Dzierzwy. Więc zrobiłem porównanie tekstu Kadłubka i Dzierzwy. Powstało kilka problemów. Jak właściwie zakwalifikować przerobiony czy zaadaptowany przez Dzierzwę tekst? Nasz kronikarz, uzupełniając opowieść Kadłubka, podał jako pierwszy biblijno-trojańską genealogię Polaków, kierując się przy wykonaniu tego zadania obowiązującymi od dawna w Europie standardami. Ważna okazała się też kwestia czasu, bowiem kronikarz również nowatorsko (na gruncie polskim) wprowadził chronologię do wykładu najdawniejszej historii ludu. I wreszcie Biblia, jej wykorzystywanie w procesie opowiadania historii przez Dzierzwę. Nie poprowadziłem studiów wedle zasad sztuki, tak jak się powinno pisać o kronice. Na przykład niewiele napisałem o środowisku kronikarza. Bałem się zasypać Dzierzwę moimi ustaleniami, takimi, których związków z samym tajemniczym autorem i jego dziełem nie można by dobrze kontrolować. Nie pisałem też wiele o jakichś zewnętrznych, „politycznych” uwarunkowaniach zabytku. Chciałem przede wszystkim postawić problem, jak kronikarz rozwiązuje kwestie, o których wspominałem wyżej.

Musiła za to wkroczyć komparatystyka, żeby próbować odpowiadać na takie pytania. Żeby się zorientować, czym jest genealogia Polaków, musiałem poznać inne podobne konstrukcje. W polskiej historiografii tak nie robiono. Bo materiał komparatystyczny to są cudze rzeczy, a tu jest nasza historia. Więc niech „oni” się zajmują swoją, a my swoją. Bo celem była gawęda, a nie problem. A jak jest już problem, to trzeba porównywać. Potem szybko zauważyłem, że tekst daje badaczowi luksus bycia u siebie i podsuwa dobre problemy badawcze, ponieważ jest autor i jego wypowiedź – świat z regułami. Można i trzeba zastanawiać się nad strukturą dzieła. Dlatego później wszystkie prace magisterskie wręcz obsesyjnie zadawałem na konkretnym źródle, żeby studenci nie spisywali faktów z mądrych książek, tylko przeczytali i zobaczyli, z czym i z kim mają do czynienia, z jakim autorem, jak jest budowana jego wypowiedź, jakie są jego chwytły poznawcze, jakie informacje i jak przycinane itd. Tekst daje luksus świata pełnego i uzasadnionej prawdą swoją, przekazywaną.

P.Ż.: Pisząc doktorat o kronice Dzierzwy, stworzył Pan podstawy swojego warsztatu i później, w odniesieniu do kolejnych tekstów, którymi się Pan zajmował, doskonalili Pan już tylko narzędzia.

J.B.: Zgadzam się, ale z pewnym dodatkiem. Zorientowałem się, ale wcale nie tak szybko, że tekst jest realniejszym światem, niż to, o czym on ma niby informować. To było pierwsze odkrycie. Drugie odkrycie było następujące. Załóżmy, że chcemy tę rzeczywistość zbadać. Dziś uważam, że jest ona zawieszona we wzajemnym komunikowaniu o niej. I nie ma jej w innym sensie, więc ja nie mogę ukierunkować swojego badania na coś, co nie odnosi się do osoby autora i jego dzieła (wypowiedzi). To jest właśnie różnica między mną a profesorem Andrzejem Pleszczyńskim, który pisząc recenzję książki profesora Pawła Żmudzkiego, sprowadza rzecz piętro niżej i stwierdza, że jest jednak coś takiego obiektywnego. No nie wiem. To, co wedle niego jest, istnieje jedynie w opiniach i obiegu komunikacyjnym, cały czas odczytywane i konstruowane. Jest dynamiczne. Poza tym nie ma do czego odnieść badania. Ja mogę odnieść się do konkretnej wypowiedzi i do grupy wypowiedzi, ale nie do całości. To jest taka gra z przeciwnikiem, którego nie ma, ale jednak odbija piłkę. Ja też tę piłkę muszę adresować do konkretnego przeciwnika, ale wiem, że to nie jest ten, który ze mną gra. Mam pełne przekonanie, że tekst ma się nijak do rzeczywistości i nie musi o niej informować, tylko w pewnym sensie jest uchwytnym przeżyciem rzeczywistości przez kogoś.

J.K.: Albo semantycznym projektowaniem rzeczywistości, odegraniem i zarazem kreowaniem kulturowych znaczeń.

J.B.: Tak. Ja bym chętnie odniósł tekst do czegoś, ale wszystko, co mogę powiedzieć, to tyle, że ten pan sądzi tak, a ten pan inaczej. Ale kiedy muszę na sali wykładowej, w telewizji, dla przyjaciół poprowadzić gawędę, wtedy działam

artystycznie, już ponad pojedynczymi wypowiedziami autorów-źródeł i opowiadam, jak leci – z pewną misją informacyjną, jasną i rzeczywistość porządkującą. I to jest jakoś względami kulturowej komunikacji uzasadnione, ale w naukowym badaniu – w moim przekonaniu – niedopuszczalne. Bo jeżeli założę coś na początku badania (czyli wiem, jak było), no to leżę, bo z góry wiem, do czego idę i co osiągnę.

P.Ż.: Chciałbym zapytać o przełomowy chyba moment w Pana życiu naukowym, czyli o genezę książki *Podanie o Piaście i Popielu*. Początkowo miał Pan inne plany co do rozprawy habilitacyjnej.

J.B.: Początkowo chciałem nadal zajmować się XIV i XV wiekiem. Zawsze byłem patriotą i denerwowało mnie, że nie mamy mitologii historycznej, a z drugiej strony ważna była dla mnie kultura niemiecka, z powodu ojca i jeszcze innych względów. I mówiłem sobie: Dlaczego oni mają wielkiego Grimma i nie jednego? Skąd u nich tyle bajek, podań? Potem, jak zacząłem badać, to zobaczyłem, że my mamy równie dużo. Tylko trzeba je wypreparować, podać, dopieścić. Wtedy panowało jeszcze przekonanie, że te późnośredniowieczne bajki o Kazimierzu Odnowicielu, Bolesławach Chrobrym i Śmiałym to są jakieś fałszerstwa historii, czcze bujdy niewarte uwagi, w których wszystko zostało pomylone. Dopiero ostatnie dziesięciolecia pokazały, że są one jednak pełnoprawnymi, oryginalnymi utworami, dającymi świadectwo, jak ludzie myśleli o swojej przeszłości i wyobrażali ją sobie z punktu widzenia swojej epoki. To niby-proste, ale długo do tego dochodzono. Chciałem badać podania o Kazimierzu Mnichu – to jest wspaniały temat – ale wyjechałem do Niemiec. Tam, w Tybindze, zobaczyłem bibliotekę, jakiej długo potem nie widziałem. Po powrocie do Polski, w koszmarnych latach 1984–1990, ta biblioteka mi się śniła. Straszne sny, widzę na półkach, że stoi „Zeitschrift für celtische Philologie”, komplet, sięgam po ten czy tamten tom, którego potrzebuję – jestem uradowany i budzę się. I tragedia – nie ma niczego, tylko BUW z jakimiś surrealistycznymi dwoma czy trzema egzemplarzami tego czasopisma. Zrozumiałem, że w domu nic wielkiego nie można zrobić – jestem skazany na Kadłubka. I to jest odpowiedź, dlaczego się wzięłem za niego. Ale praca w Tybindze to była przyjemność. Schodziło się piętro niżej i były wszystkie źródła starożytne. Brałem sobie jakiegoś Arriana, dalej stał Waleriusz Maksimus, praca szła fantastycznie, od książki do książki. Nie wiem, dlaczego ten Piast się przyplątał, prawdę powiedziawszy. W Tybindze był taki wybitny profesor indologii Paul Thieme, który napisał książkę *Der Fremdling im Rigveda* i polemizował z Dumézilem. Chodziłem na jego wykłady. Ciągnęło mnie w stronę tej Indoeuropy strasznie. Niemcy mają w sobie coś takiego. Wystarczy zobaczyć Norymbergę w Boże Narodzenie i te wszystkie ohydne duchy niemieckie, które tam wychodzą i powiewają, i te witraże neogotyckie, i tych naukowców, którzy – jak Karl

Hauck – piszą tak, że samemu można Wodana zobaczyć o ósmej wieczorem na wzgórzu. To wszystko mnie podnieciło (trochę na zasadzie: a my co?), żeby komparatystycznie przyjrzeć się tradycji piastowskiej. Potem się wciągnąłem. Ale na początku doszło do uchwycenia problemu. Zorientowałem się, że mam do czynienia z podaniem dynastycznym. To wydaje się teraz banalne i proste. Ale wtedy nie było i ta konceptualizacja uruchomiła dobry materiał porównawczy – inne podania dynastyczne. Zobaczyłem, że strzał jest w dziesiątkę. Podania się „zgadzały” i zaczęły „pracować” na siebie. Jedno coś wносиło do drugiego. Idąc tą ścieżką, zacząłem kombinować.

P.Ż.: I pojawił się pomysł, by kategorii Georges’a Dumézila zastosować do legendy piastowskiej. Z pracami Dumézila miał Pan kontakt już wcześniej, podczas pobytu w Paryżu w latach siedemdziesiątych, ale tym razem pojawił się pomysł na konkretne zastosowanie jego koncepcji.

J.B.: Pojawił się, bo musiał się pojawić. On pisał przecież o irańskiej dynastii Kejanidów, królach rzymskich, o Mahabharacie, różne zresztą wątki dynastyczne były przez niego podejmowane. Na dobrą sprawę jestem cały czas pod wrażeniem dorobku Dumézila. Pochlebiam sobie, że jestem jedną z niewielu osób, które go chyba w całości przeczytały, co nie jest takie łatwe. I wiem, jak bardzo zmienił on nasz sposób patrzenia na tzw. dawne tradycje i ich bohaterów (i nie idzie tu o jego teorię trójpodziału). Jednak nie zamierzałem wtłaczać legendy piastowskiej w system Dumézila, tylko chciałem się nim podeprzeć, bo wydawało mi się, że ideologia legendy piastowskiej przystaje do teorii Dumézila.

P.Ż.: Wiele inspiracji płynących z dzieł Georges’a Dumézila nie ma nic wspólnego z tripartitio. Dumézil uczy przestrzegania integralności tekstu, traktowania poważnie wypowiedzi źródeł i generalnie jest bardzo inspirujący metodologicznie.

J.B.: Dumézil przedstawił reguły rządzące eposem czy dawnymi narracjami i pokazał, czym one są, jakimi układami fabularnymi i jakimi bohaterami na płaszczyźnie opowieści skutkują. Dla przykładu. Jeżeli postać władcy pokazuje się w tekstach, to z reguły wywołuje opis ekumeny – społeczności stanowo i przestrzennie ustratyfikowanej – uporządkowanej. Jak król śni, to mu się śnią trzy stany. Jeśli król jedzie, to trzy stany pojawiają się koło niego. Jak się król ubiera, to w kolory trzech stanów. To nie jest Dumézilowskie; to jest prawdziwe w sensie tekstowym. Dzięki Dumézilowi wyczuliliśmy się też na przykład na patrzenie quasi-genderowe, bo każda grupa ma swój funkcjonalny styl, znak rozpoznawczy i właściwe sobie sposoby działania. On nas nauczył, że po wędce – atrybucie bohatera – można dojść do wielkiego problemu.

P.Ż.: Książka *Podanie o Piaście i Popielu* została uznana przez wielu za projekt bardzo heretycki z punktu widzenia „prawdziwej” historii. Wcześniej ukazała się *Mitologia Słowian*, w której Aleksander Gieysztor wprowadził myśl

Dumézila do polskiej nauki. Mimo tego środowisko mediewistyczne raczej nerwowo zareagowało na Pana publikację.

J.B.: W przedmowie do nowego wydania *Podania o Piaście i Popielu*, stylizując się niemalże na bohatera z *Wilka stepowego*, co trzeba brać *cum grano salis*, wspominałem o tym. Reakcja środowiska była wkurzająca. Historycy się oburzyli, bo uważali mnie w zasadzie za historyka. Najbardziej zdenerwowało ich to, że kaleczę polską historię, przyznając status legendarny przodkom Mieszka I. A tak nie można. Jeden z recenzentów napisał nawet, że patriocie powinno zależeć, żeby oni byli prawdziwi. W najgorszych snach nie przypuszczałem, że to może tak być odebrane, ponieważ nie uważałem – i nadal nie uważam – żeby wypowiedzi o tekście podania działały na rzeczywistość. No bo jak? Najbardziej przecież nierzeczywiste teksty można nałożyć na najbardziej rzeczywistą rzeczywistość, np. pisząc sobie odpowiednio spreparowaną biografię. Wywodzę się od Karola Wielkiego. Ale znajdują mojego przodka, który – jak się okazuje – ma DNA hydraulika, pana Józia. A przecież było to pewne, że jestem Karolingiem, bo mam pamiętki, miecz, nos po Karolu. Ale jestem, żyję i mam się dobrze.

P.Ż.: Przede wszystkim w *Podaniu o Piaście i Popielu* pada wyczerpujące wyjaśnienie, że książka nie orzeka o rzeczywistości historycznej, bo programowo jest o czymś zupełnie innym.

J.B.: Jedną ogromną satysfakcję los mi przyznał. W *Podaniu o Piaście i Popielu* napisałem, że „konstatacja o dojściu Piastów do władzy w wyniku obalenia Popielidów [czyli w Gnieźnie, kiedyś, w dawnych czasach pogańskich – uzupełnienie dzisiejsze J.B.] nie jest bardziej prawdopodobna od wielu innych rozwiązań, które się tu narzucają. Nawet od koncepcji tak jaskrawo stojącej w sprzeczności z treścią legendy: Piastowie mieli już od dawna władzę, chcieli natomiast odpowiednio uzasadnić narodziny swojego panowania”. I koronny wniosek, wówczas i do niedawna szalony wobec świadectwa podania i niepodważalnej pogańsko-pradawnej metryki Gniezna: „Wybór stosownej do wypełnienia tego zadania fabuły i zadowolającej zleceniodawcę nie musiał przecież pozostawać w związku z prawdziwymi czy pamiętanymi okolicznościami zdobycia tronu przez ród, który wprowadził do Polski chrześcijaństwo”⁴. A więc Gniezno i cały prawdziwy przewrót tamże, tak pięknie i ze szczegółami opisany przez profesora Przemysława Urbańczyka, również w „Gazecie Wyborczej”, mogą być tylko własnością propozycji ideologicznej wybranej przez Piastów. Dzięki badaniom archeologicznym Gniezno, odniesione dzisiaj do przełomu IX/

⁴ Id., *Podanie o Piaście i Popielu: studium porównawcze nad wczesnośredniowiecznymi tradycjami dynastycznymi*, Wrocław 1986, s. 194.

X wieku, w każdym razie niewiele wchodzące w stulecie dziewiąte, słabiej sprawdza się już w roli prastarej pogańskiej kolebki Piastów. Fakt fundamentalny, święty i nie do podważenia, usankcjonowany autorytetem tradycji i przekazu Galla, którego „zaatakowanie” zapłaciłem reputacją „bajkopisarza”, przestał być już takim. Sprawdziła się moja metoda, pogardzana, „literacka” podobno, a nie wielkie autorytety prawdziwych historyków.

J.K.: Spór, jaki zarysowuje się pomiędzy „prawdziwymi” historykami a Pańskimi propozycjami, opiera się na opozycji historii „prawdziwej”, klasycznej, faktograficznej i historii fabuł czy też wystroju narracyjnego tekstów. W tym planie chciałbym mimo wszystko zadać pytanie, które być może zmusi Pana do wyrażenia pewnej deklaracji ontologicznej. Interesuje mnie problem relacji tekstów do świata społecznego. Czy istnieje związek między światem a jego tekstowym przedstawieniem, czy jest on może zerwany? Innymi słowy, czy topos może być elementem „prawdziwej” historii? Pytanie to stawiam w planie pewnej intuicji Jurija Łotmana, który stwierdził kiedyś, że literatura nie naśladuje życia, za to życie naśladuje literaturę.

J.B.: Ja bym się zgodził z Łotmanem. Nie tworzę oczywiście żadnego systemu metodologicznego. Powiedziałbym, że z pewnością zachodzi relacja między światem realnym a tekstem, tylko trudno jest tę relację uogólnić. Za każdym razem dostajemy inną. Jesteśmy za bardzo zanurzeni w rzeczywistości, żeby można było ją „odsunąć”, nazwać i wskazać. Dostajemy jakiś rzeczywisty impuls i odpowiadamy na to kolejną wersją rzeczywistości, czyli kolejnym przeżyciem rzeczywistości. W związku z tym najmądrzejsze są żony, które wiedzą zawsze, w jakiej my jesteśmy rzeczywistości. One mówią, jak jest, stabilizują swój pogląd i twierdzą, że tak jest w ogóle. To samo robiły i robią podręczniki. Światopogląd niemiecki i niemiecki ogląd życia społecznego miały być wizją rzeczywistości w ogóle (i prawdziwą). A potem okazuje się, że my widzimy to inaczej, tamci widzą to jeszcze inaczej. W tym sensie nie ma dla mnie pytania, kto od kogo ani czy relacja jest zerwana. Jesteśmy wiecznie w tej rzeczywistości i na nią reagujemy. Nie mamy żadnego punktu zaczepienia. Mogę swoje mniemanie o rzeczywistości uczynić podstawą mojej wypowiedzi i przekazać innemu. W tym częstym przekazywaniu przeczuwamy, że wisi coś w powietrzu w miarę konturowo zarysowane. Daje nam to jakiś opór i możliwość odwołania się do czegoś. Jeżeli jednak chcemy absolutyzować i powiedzieć, jak było naprawdę na Stadionie X-lecia w czasie meczu, to wpadamy w gawędę historyczną, bo trzeba coś założyć. Większość powie, że było fajnie. No to proszę podać kryterium. Dlatego jestem przeciwny takim wypowiedziom historyków: „Zasadniczo Gall Anonim mówi prawdę, poprawnie i właściwie orzeka o sprawie, ale są pewne rzeczy, które trzeba skorygować”. To nie jest fortunate zdanie (i postawa poznawcza). Gall coś napisał tak a nie inaczej i jeżeli chcę jego wypowiedź korygować, to muszę zająć

„boskie” wobec niego i wszystkiego innego stanowisko. Właściwie nie mam prawa i możliwości korygowania. Można tylko powiedzieć, dlaczego Gall coś i właśnie tak napisał. Albo weźmy pod uwagę częste stwierdzenia, że coś jest wyłącznie anegdotą lub toposem. Nie wiem. A co z tzw. skryptami? W psychologii kognitywnej skrypt jest czymś, co daje szybkie rozpoznanie sytuacji. Toposy są konieczne ze względu na szybkość i skuteczność komunikowania się. Komunikowanie się nie polega przecież w większości wypadków na oddawaniu obrazu rzeczywistości, istotne jest wymuszenie pewnej akcji. Ono musi się odnosić do znanej ramy i kontekstu. „Prostowanie Galla” czy wyłączenie znacznych partii jego wywodu z poważnej analizy tylko dlatego, że coś się nam wydaje tylko anegdotą, czymś nieprawdziwym, nie wydaje się trafne. To by trzeba było najpierw udowodnić. Zresztą anegdotą najczęściej określa się to, co mówi o rzeczy krotochwilnej z naszego punktu widzenia.

J.K.: Anegdota może być równie znacząca.

J.B.: Jeżeli się pokaże, że opowieść jest anegdotyczna w ramach tekstu, to tak. Dlatego toposy szanują. Nawet prawdziwi historycy doszli do wniosku, że trzeba je uwzględniać. Jest taka nieduża praca Larsa Hageneiera *Jenseits der Topik*. On pokazał, że rozpoznanie toposu to mało. Topos działa w jakiejś strukturze tekstowej i nie ma możliwości, żeby gra toposu i tej struktury dawała zawsze te same efekty. Weźmy pod uwagę dwa żywoty Karola Wielkiego – Einharda i Notkera Balbulusa. W zasadzie obaj biografowie robią to samo, ale czujemy, że Notker jest krotochwilny. Pewien badacz stwierdził, że u Notkera jest to samo, co u Einharda, tylko Notker stracił dystans do postaci. Inaczej ustawia swojego bohatera. Gdy się robi komuś zdjęcie w pełnym świetle, to ten ktoś wychodzi promienny, a w półcieniu, zadumany. Tekst jest kalejdoskopem. Za każdym razem trzeba go odczytywać. Naszą rzeczywistością jest – jak pisał Jacques Derrida – rzeczywistość tekstu. Przypominam sobie wypowiedź Derridy o tym, dlaczego cały czas i od dawna lubimy Romea i Julię. Nie dlatego, że coś wiemy o ich historii i średniowiecznej Weronie, tylko dlatego, że to jest powtarzający się „ludzki” konflikt. To wiemy i czujemy, dlatego uruchamiamy tę historię. Rzeczywistość nie jest taka ważna.

J.K.: Zapytam może jeszcze raz o to samo, ale od nieco innej strony. Skoro – jak mówi Derrida – naszą rzeczywistością jest rzeczywistość tekstu, to czy toposy, fabuły, skrypty mogą kształtować praktykę społeczną, działanie jednostek? Wspomniany już przeze mnie Łotman wskazywał swego czasu na zaobserwowane przez siebie zjawisko stylizacji życia, konkretnie życia arystokracji rosyjskiej XVIII wieku, wedle wzorów podsuwanych przez literaturę.

J.B.: To jest podstawowa sprawa – formowanie rzeczywistości przez literaturę. Zauważył to już Walter Ullmann w odniesieniu do literatury arturiańskiej. Okrągły Stół wymusił Parlament angielski i Ullmann napisał to na poważnie

w latach sześćdziesiątych. Nikt wtedy chyba w to za bardzo nie wierzył, a teraz pisze się otwarcie, że model fabularny trojański, rzymski, arturiański formował wzorce dworskich zachowań średniowiecznej arystokracji – czyli fikcja rodzi rzeczywistość. Podobnie z genealogiami – wstaw sobie Karola Wielkiego lub Mieclawa cześnika do rodowej biografii, a z życzliwą wyrozumiałością będziesz konferował z prezydentem Obamą, a z Goldmanem Sachsem bez kompleksów. Pomyślmy też o naszym panu prezydencie.

J.K.: W tym momencie dochodzimy do interesującej mnie zasadniczo kwestii zetknięcia tekstu z rzeczywistością, z praktyką społeczną. „Prawdziwy” historyk zmierza do wykrycia w gąszczu tekstu faktów, ma za zadanie wskazać, że wydarzyło się to czy tamto, że określone działanie podmiotów historycznych miało faktycznie miejsce bądź że opisujący to wydarzenie autor źródła historycznego w istocie konfabulował. Ostatecznie tak działający badacz próbuje odnieść tekst źródłowy do istniejącej obiektywnie, jak zakłada, poza tym tekstem rzeczywistości, starając się wyłuskać ze źródła to, co jest z nią zgodne. Przyjmując odwróconą perspektywę relacji tekst–świat, unikamy jednak w istocie problemów związanych z próbą dotarcia do rzeczywistości pozatekstowej, gdyż to nie rzeczywistość staje się wzorem dla tekstu, ale tekst jest – lub lepiej – bywa wzorem dla rzeczywistości kulturowej. Operując w przestrzeni tekstów, mamy możliwość interpretowania zamkniętych w nich skryptów poznawczych, stanowiących konstytutywny składnik praktyk społecznych.

J.B.: Tekst jest zawsze odniesiony do twórcy i rzeczywistość, którą ten tekst otwiera, pozwala postawić pytanie, dlaczego on tak to przedstawił. Czy w niektóre rzeczy autor wierzył, czy nie wierzył, wiedział mniej czy więcej, ale zawsze chciał je w określony sposób przedstawić, rozpowszechnić. I to jest rzeczywistość. Zawsze warto też odnieść ten problem do siebie: Czy ja, żyjąc już tyle lat, mam koncepcję historyczną rozwoju wszechświata, Warszawy i mojego kraju? Nie mam – a mam mnóstwo luk w dostępnym mi oglądzie czegokolwiek. Nie wiem, co inni robili i co mówili – a mimo to działam sprawnie. Tak samo jest z badaniem rzeczywistości historycznej. Robi się to przez tekst, problemowo, do autora, wycinkowo. Natomiast prawdziwy historyk uważa, że istnieje taka cała wielka rzeczywistość, która gdzieś tam jest, bo ona się musiała odbyć. Bo ona musi istnieć. I to jest problem. Można rzecz zminimalizować, przekonując, że do tej rzeczywistości trudno, lub że w ogóle nie można dotrzeć, gdyż dziś mamy tylko jej refleksy. Ale cały czas pozostaje to dyskusją platońską – o ideach ukrytych w jaskini. A historyk tradycyjny zawsze staje i mówi: historia Francji to jest to, to i to...

Wyrażę myśl jeszcze inaczej. Myśmy długo myśleli, że kanon historii europejskiej jest kanonem Historii. Ale pojawili się jacyś Eskimosi i inni i zapytali nas: A gdzie jest nasza historia? Dzisiejsza Europa rozbija więc tę swoją pierwotną

wersję historii i w tym sensie traci jednocześnie swą tożsamość. Uprawiając naukowo historię, w zasadzie działamy i jesteśmy zmuszeni działać tak, by grupa miała i zachowywała tożsamość (budowaną na „pozytywach” rzecz jasna). W XIX wieku i później wiara w podręcznik (nasz, jedyny możliwy i najprawdziwszy oczywiście) była taka, że można było nim walić (i walono!) jak maczugą na polu walki, bo w podręczniku wszystko było przedstawione „sprawiedliwie”, to, co my osiągnęliśmy, to, co nam złego zrobili, co trzeba odebrać i naprawić itd. Wcale nie jestem przeciwko takim ujęciom, ale nie łączyłbym z nimi historii naukowej, interesującej mnie jako badacza. Zdaję sobie sprawę, że nasze dzieci trzeba czegoś uczyć, w imię chociażby dobra wspólnego, same sobie nie poradzą! Muszą wiedzieć najpierw, że jest taka wspólnota, że miała takie a takie doświadczenia i obecnie zamierza je użyć następująco. Trzeba zatem wszystko, co uznaje się za ważne, pozbierać, przemyśleć, ułożyć, aby uzyskać aprobowany akurat obraz historyczny wspólnoty, z którą chcemy się utożsamić. Ale działalności takiej nie należy mylić z poznawaniem świata, rzeczywistości historycznej. Dlatego nie czuję żadnego związku z tradycyjnymi historykami. To są inni ludzie pracujący w innych rzeczywistościach. Liczą pewne rzeczy, znają kapłanów, prebendy, dochody, urzędników – i myślą, że gdy będą znali wszystko, odbudują przeszłość. Oczywiście wiem, że to, co robią, jest potrzebne – kiedy szukam danych ontologicznych (był, nie był, zrobił, nie zrobił, miał, nie miał itd.) do mojego tekstu, korzystam z wyników ich badań. Jednak jest to działalność zupełnie inna od mojej. Trudno nam nawiązać rozmowę. Ja pozostaję „w wypowiedzi”, oni zamieniają ją na rzeczywistość historyczną.

J.K.: Tradycyjna historia jest zgodna z potocznym odbiorem rzeczywistości i na tym opiera się jej siła...

J.B.: Ona musi być zdroworoządkowa, bo musi zbudować tego „Kwiatkowskiego”, ufundować go w pewnej sferze historycznych doświadczeń, z których wynikają jego dzisiejsze aspiracje i wartości. I to jest jakoś tragiczne. Ja wiem, że to jest moja żona, wiem, co ona nosi, co je, ale bałbym się powiedzieć, że taka jest w rzeczywistości.

P.Ż.: Chciałbym wrócić jeszcze do dwóch poważnych źródeł inspiracji deklarowanych w *Podaniu o Piaście i Popielu*, to znaczy do pomysłów Rolanda Barthes’a i Mircei Eliadego. Zwłaszcza na podstawie prac tego pierwszego konstruuje Pan swoją wypowiedź o podaniu, legendzie dynastycznej jako micie.

J.B.: Dla mnie Roland Barthes jest niezwykle ważnym myślicielem i, powiedziałbym, chyba jednym z najciekawszych autorów. Foucault jest (znowu dla mnie) nieprzejrzysty – nie bardzo wiem, co z nim zrobić. Natomiast Barthes jest praktyczny – tak samo jak Jacques Derrida. Ten ostatni jest może bardziej filozoficzny, ale da się coś z niego wyciągnąć do interesujących mnie przypadków. Dla mnie ważne było – i to mnie kiedyś wręcz zaskoczyło – że mit jest

sposobem komunikacji, a nie jest określony przez to, o czym mówi i co zawiera. Z takim jego ujęciem wśród historyków było wiele problemów... Gdy rozmawiałem z profesorem Brygidą Kürbis, odpowiadała: „Panie doktorze, mity to są greckie”. Dla klasycznego historyka mitem było wszystko to, co nie było prawdziwe. A właśnie Barthes pokazał, że mit jest pewnym typem organizacji wypowiedzi i że termin „mit” jest kwalifikacją tekstową. Dzięki temu dostrzegłem, że mit dynastyczny jest rodzajem zdjęcia, które zostało zaplanowane w taki sposób, jak powinno, jakby to był jedyny fakt oczywisty. Ta nauka przydała mi się na stałe. Dalsze zadanie było takie: pokaż, jak ten język jest kradziony, *cui bono*?

J.K.: A Eliade?

J.B.: Eliadego brałem – że tak powiem – z dobrodziejstwem całego inwentarza. On mnie upewnił, że tak naprawdę interesować się warto zwłaszcza początkowymi partiami utworów historiograficznych. Stosując metody komparatystyczne, Eliade pokazał – podobnie jak Dumézil – że historia początkowa nie jest historią o rzeczywistości, lecz jest tym, co wspólnota szanuje, co chce mieć i u siebie widzieć na stałe itd. Przekonał mnie o integralności myślenia ludzkiego w różnych kulturach i epokach – myślenia sytuowanego na poziomie problemów wynikających z ludzkiej egzystencji. Poszukiwanie „środka”, problemy z granicą, zjawiska cyklicznego odnawiania się „początkowego” w teraźniejszości – oto niektóre kwestie (żeby zdenerwować prawdziwych historyków) ponadkulturowe i ponadczasowe, ludzkie po prostu. Pokazał mi też, że religijność jest pewnym typem wrażliwości człowieka. Będąc wychowany w kulturze katolickiej, uważałem, że religijność przejawia się w kościele w obecności kapłana. Po lekturze Eliadego zrozumiałem, że *sacrum* może również wypływać z przyrody, z określonych jej epifanii, że powiem górnolotnie, z pewnych układów składników tejże przyrody. Także społeczna, wspólnotowa doniosłość chwili, ceremonii wytwarza samoczynnie kontekst sakralny dla podejmowanych działań. Dużo można było również od niego zapożyczyć w kwestiach mitologiczno-narracyjnych dotyczących np. postaci kowala, w ogóle problemu wytwórczości, zagadnień *Männerbundu*... Eliadego, jak Barthes’a czy Derridę, uważałem za jednego z moich ideologów.

J.K.: W naszej rozmowie pojawiają się nazwiska osób, których dorobek naukowy związany jest z literaturoznawstwem. Czy idea badania fabuł, całości narracyjnych, strategii narracyjnych jest świadectwem inspiracji i zakorzenienia Pana twórczości w dziedzinach z zakresu szeroko pojętej wiedzy o literaturze? Pytam o to z nadzieją pełniejszego odsłonięcia składników Pańskiego „interdyscyplinarnego”, czy może lepiej „polidyscyplinarnego” zaplecza badawczego.

J.B.: Co było robić? Historycy pisali nie o tekstach, tylko o rzeczywistości, którą odnajdywali w tekstach. Więc przydały mi się prace Hansa Roberta Jaussa,

Hermann Bausingera, Władymira Proppa, mniej Algirdasa Greimasa itd. Folklorysty i komparatyści, tacy jak: Alexander H. Krappe, stary Felix Liebrecht, Max Wehrli czy nasz Krzyżanowski, byli zawsze przeze mnie chętnie czytani. Gdy studiowało się *exempla* średniowieczne (świetną książkę o nich dał nam, choć z pewnym opóźnieniem, Wojciech Brojer), a tak się złożyło, że właśnie w epoce, w której dorastałem, *exempla* jako wehikuły historii społecznej badano bardzo dokładnie, można było zauważyć, jak ich autorzy igrają z rzeczywistością. Zamieniano postacie fabuły, umieszczano je raz w jednym, raz w innym czasie, zmieniało się też miejsce akcji, modyfikowano często intrygę, wszakże przekaz działał jakoś w ramach komunikatu o tożsamym czy zbliżonym przesłaniu. Patrzyłem na te próby jak na pewne (poligonowe) układanki, aranżowane we swoistej grze między informacjami o rzeczywistości, potrzebami odpowiedniego jej ukazania a narracyjnymi, chwytliwymi dla słuchacza realizacjami (bardziej toposowymi lub mniej). Takie krótkie opowiadania pokazują dobrze, jak drobnym ruchem-zmianą daje się uzyskiwać nowy obraz zdarzeń. Są przekonującym mementem, by nie rzucać się od razu na tekst z wiaderkiem na rzeczywistość, bo mała korekta, tam czy tu, potrafi przewrócić sens komunikatu, a wynika ona przecież z „tekstu”, nie z rzeczywistości historycznej. Utrwaliła mi się refleksja, że na teksty trzeba patrzeć w całej ich złożoności, wszystko w nich jest ważne – i te pomijane, jako retoryczne, fragmenty utworu-przekazu przez historyków mądrych i „prawdziwych” stanowią części całości, dobre jak inne, i pracują zawsze na efekt końcowy czy w równej mierze spełniają komunikat w jego kształcie takim lub innym.

Ważna sprawa, literatura piękna, narracje epicko-mitologiczne – wszelkie teksty programowe wyolbrzymiają to, czego my się domyślamy, a w prawdziwej historii jest ukryte czy trudne do (atrakcyjnego) wydobywania. Pytając przykładowo o miłość dworską, wolę przeczytać coś o Tristanie i Izoldzie, niż łowić o tym zjawisku w źródłach jakieś strzępki „realnych” wiadomości. Chcę dowiedzieć się o eschatologicznym nastawieniu ludzi w XIV wieku, to lepsza jest opowieść Chaucera o stolarzu, który na dachu domu czy na poddaszu robił arkę, bo wierzył, że będzie potop. Może nie lepsza od opowieści franciszkanina Salimbene, ale takiego świadka epoki niełatwo znaleźć. To właśnie w świecie tekstu, co brzmi paradoksalnie, znajdujemy wzorce pełne i przejrzyste tego, co w historii dzieje się kulawo niekiedy lub nie do końca czy w pełni.

J.K.: Jest to zatem strategia podobna do tej, jaką przyjmował choćby Johan Huizinga w *Jesieni średniowiecza*, sięgający przed laty, ku zdziwieniu ówczesnych „prawdziwych” historyków, do tekstów literackich.

P.Ż.: Huizinga też widział w kulturze wyjściową matrycę zachowań społecznych...

J.B.: No właśnie. Bo matryce są lepiej przedstawione w beletrystyce i my (jak sądzę) jesteśmy ich realizacjami... Ale chciałbym powiedzieć o teorii,

w którą jakoś wierzę, to będzie dość zabawne. Wierzę mianowicie, że po lekturze tekstu, który jest w miarę zamknięty (dokonany, gdzieś się zaczyna, kończy, stanowi pewną całość narracyjną), nic o nim, w istocie, nie wiem. Tekst da mi jakieś imiona, czasowniki, rzeczowniki, nazwy, sytuacje – ja sobie coś z tego wszystkiego oczywiście ułożę, wydedukuję. Ale to będzie (dla mnie przynajmniej) zbyt dowolna konstrukcja. „Poszedł do lasu...”, „zabił komesa”, „poślubił potem jego krewną i żyli długo i szczęśliwie” – aha, wiem, co to znaczy zabić, dowiem się, co mu mogło grozić za zabójstwo dostojnika, ślub też kojarzę, sprawdzę, co to za dama i jak do mariażu doszło – no proszę, oto bardzo ciekawa historia z życia prowincjonalnych rycerzy, opiszę ją w swej pracy *Rycerz, kobieta i śmierć*. A w gruncie rzeczy nic nie wiem: nie wiem, czemu mój tekst-źródło ideowo i informacyjnie służy. Po co akurat tak go wystylizowano, czy pewne informacje i sytuacje uwypuklono czy nie, są typowe czy sztuczne itd.? Bo co, jeżeli bohaterowie zwykle zabijali po kilku komesów i zdobywali żony, które potem jakoś szybko odchodziły z tego świata? Aby odczytać tekst, muszę więc wykonać kolejne, po zwykłej lekturze, zadanie – muszę znaleźć podobne przekazy (a wiem, że zawsze są takie), które spowodują, że ten mój pierwotny, badany przeze mnie obiekt osiągnie postać „wielowymiarową”, że nabędzie on perspektywy i stanie w kontekście innych pokrewnych realizacji. Zbieram ich jak najwięcej, prześwietlam komparatystycznie poszczególne sekwencje tekstu wyjściowego, sprawdzam, jak się da, jak taka całość czy jej ważne części składowe ewoluują. Dopiero po takim zabiegu „nadmuchania” tekstu wyjściowego zaczynam się orientować, po co on został tak właśnie nadany, wymodelowany, mogę wskazać na jego przesłanki – cele ideowe. Dostrzegam, co było pożądane w obrazie wykreowanej rzeczywistości niby-historycznej. Mogę dostrzec, ponieważ operacje na składnikach przekazu (a to sytuowanie ich w podobnych konfiguracjach fabularnych, a to podstawianie wątków, stylizacja sytuacji itp.), mutacje tychże, zaczynają mi mówić, do czego te „cegiełki” służą i po co po nie sięgnięto. Teraz dopiero wracamy do pierwotnego tekstu i czytamy go, mniej narażając się na postrzeganie rzeczywistości sposobem wskazanym przez Ildefonsa Gałczyńskiego: że koń, że las, że zabił, że się ożenił, że Hugo.

J.K.: Chodzi zatem o to, że nie konkretna realizacja, ale struktura jest znaczącą...

J.B.: Tak, oczywiście – struktura do swego problemu wyjściowego dobiegająca, układająca, porządkująca składniki przekazu. Struktura nie reaguje na ikonografię, że tak powiem, epoki czy samego wydarzenia, ale na zadanie, które musi wykonać! I do niego z tzw. arsenału kultury dobiera resztę – szczegóły i odpowiednie scenariusze. Umie też w bardzo długiej perspektywie historycznej wykonywać powierzone sobie zadanie i dla każdego wcielenia historycznego

tego zadania wynajduje inne wyposażenie scenograficzno-fabularne, ale z poprzednimi, co do planu znaczeniowego w ramach przekazu, równoważne. Jeśli chodzi np. o ilustrację złego (dla poddanych czy ludzi w ogóle) i skąpego pana, to raz uruchomi biskupa, raz sknerę chłopą we właściwych dla nich sceneriach i akcjach, ale we wszystkich punktach fabuły decydujących o właściwym spełnieniu ideowym przekazu, powoła do życia znaczeniowe równoważniki. Ten pierwszy każe spalić biedaków w szopie w czasie głodu i potem zaczął prześladować go myszy, ten drugi odpędzi od domu żebraka i chleb w jego skrzyni na zapasy zamieni się w żaby, węże, robactwo.

P.Ż.: Wydaje się, że jest to dobry moment, żeby zapytać o pewną różnicę pomiędzy *Podaniem o Piaście i Popielu* a Pana następną książką – *Polskimi dziejami bajecznymi Mistrza Wincentego Kadłubka*. O ile w pierwszej publikacji idzie Pan tropem indoeuropejskim w oparciu o Dumézila, o tyle w drugiej narzędzie analizy komparatystycznej staje się szersze i indoeuropejskość przestaje je ograniczać. Dumézil miał – jako pretekst może, a nie fundament – wyjaśnienie historyczne, że skoro była grupa językowa, to była odrębna kultura. W tym planie uruchomiona w *Polskich dziejach bajecznych* komparatystyka rodzi pytanie o to, jak owe elementy ponadkulturowej jedności powstały, skoro przykłady nie są czerpane wyłącznie z kręgu indoeuropejskiego.

J.B.: Podobieństwa biorą się z ludzkiej, powiedzmy, ograniczoności, powtarzającej się czy zbliżonej sytuacji (kulturowo-społecznej), która zachodziła u różnych ludów i w różnych konfiguracjach czasowych. Wierzę w dającą podobne skutki interakcję między człowiekiem, jego otoczeniem i problemami narzucanymi mu przez egzystencję. Nigdzie te problemy i to otoczenie nie są na tyle różne, by nie mogły być uznane za przynajmniej porównywalne. U Eskimosów, którzy nie znają lasu, instytucji miasta, państwa, Kościoła i czego tam jeszcze, mogą pojawić się pewien mitem czy pewne zachowanie, ryt, obecne też w społecznościach wyposażonych w te wspomniane dobra naturalne i cywilizacyjne. Bo u jednych i drugich się poluje, współzawodniczy, kocha, nienawidzi itd. To wystarczy, by tu i tam zabiegać o powodzenie przedsięwziętej akcji, a repertuar takich rozmów z siłami sprawczymi, swoistych apeli do najważniejszych wartości grupy, mówiąc brzydko, produkuje tak wiele podobieństw! Przekonałem się o tym, badając wątek czy działanie zrytualizowane, polegające na odsłonięciu przez kobietę piersi (w akcie obrony życia, rozładowania ślepej żądzy zabijania). Zacząłem w dawnej Irlandii, a wylądowałem w średniowiecznej Japonii, przelatując przez starożytny Rzym i Grecję. Przy okazji wyszło na jaw, jak mocno tym gestem (także innymi) zbliżamy się do zwierząt i socjologii. Oczywiście trzeba to wszystko jednak badać krok po kroku.

P.Ż.: A jak Pan sobie wyobraża mechanizm transmisji tych podobnych rozwiązań?

J.B.: Podobieństwa te nie muszą być koniecznie transmitowane, i na ogół nie są. Sądzę, że są generowane z pierwotnego, jednostkowego i społecznego podłoża. Jeden z kolegów zastanawiał się kiedyś, skąd Germanie wpadli na pomysł noszenia długich włosów. To mnie bardzo rozbawiło, więc stwierdziłem żartobliwie, że musieli skądś je zapożyczyć, bo sami by tego nie wymyślili. Przywołam znowu intuicję czy przekonania Derridy dla historyka niewątpliwie denerwujące – wiemy, kim jest kobieta, co to jest miłość i nienawiść, no to rozumiemy nawet najstarsze opowieści osnute wokół wymienionych podmiotów, a historia – ona nie jest tu istotna.

Polskie dzieje bajeczne były dla mnie swoistą wycieczką w nieznane, podczas której mniej myślałem o tym, co robię i jak, a bardziej skupiałem się na odczytaniu tak przecież zagadkowych wywodów mistrza Wincentego na temat naszych czy krakowskich pradziejów. Najbardziej byłem zdziwiony wątkiem wyścigu dwóch chłopców o tytuł króla. Okazało się, że mamy do czynienia z refleksem pewnego obyczaju należącego do dawnej kultury grupy wiekowej-młodzieżowej. Byłem taką narzucającą się konstatacją zafascynowany i wokół tej kwestii mnożyłem dla badawczej przyjemności obrazy zidentyfikowanego zjawiska – czasami trochę odległe od naszego przypadku. W książce stale też nawiązuję do idei przedstawiania miejsca wiecowego wspólnoty (tzn. najważniejszego w ekumenie) jako powielenia zespołu początkowego – kosmicznej góry, z głazem-ołtarzem, oblanej wodami rzek, wydzielonej. Książka łączy w sumie w jednym wykładzie zbyt wiele dużych i samodzielnych problemów. W zasadzie rozdział o senioracie i mieście wyróżnionym, stołecznym, powinien być opublikowany samodzielnie z szerszą, może bardziej jeszcze tradycyjnie wyeksponowaną dokumentacją. Byłoby to uzasadnione, gdyż wydaje mi się, że status ideowy stolicy w sposób istotny wpływał na mechanizm przejmowania władzy nie tylko w średniowiecznej Polsce, a także na powstanie w kraju dzielnic, której nikt nie obejmuje na zasadzie „prostego” dziedziczenia.

P.Ż.: To akurat było bardzo dobrze przyjęte w środowisku historyków. Na przykład profesor Janusz Bieniak zgadzał się z Panem co do postrzegania kwestii stolicy, senioratu i problemu układu politycznego w Polsce po śmierci Krzywoustego.

J.B.: Tak, chociaż akurat profesor Bieniak powiedział również, że w mojej książce najciekawsze były akurat te wątki, w których opowiadać mam o tym, jak to w Kadłubkowych dziejach bajecznych odzwierciedla się współczesna (trzynastowieczna) sytuacja.

J.K.: Wróćmy jeszcze na chwilę do problemu trwałości ponadczasowych wzorców narracyjnych towarzyszących ludzkiemu działaniu. Chciałbym zapytać, czy nie ma Pan wrażenia, że supozycja trwania struktur narracyjnych – jak to Pan ładnie kiedyś określił „od Popiela do Pulp Fiction” – w jakimś sensie

pozbawia jednak ludzki świat wymiaru historyczności? Schematy narracyjne, choć w czasie transformują i pojawiają się w różnych kontekstach kulturowych, na strukturalnym poziomie pozostają tym samym. Pytanie ma ponownie naturę ontologiczną...

J.B.: Jest ontologiczne, ale odpowiem dość przekornie: Czy mógłby Pan pochwalić się czy siebie bez odwołania do jakiegoś przykładu? Jeżeli Pan powie: „Ja jestem najwspanialszy”, to czekamy na informację – od kogo? Musi Pan dopowiedzieć (albo jakoś rzecz zasugerować): od Aleksandra, od Cezara itp. Nie można się chwalić bez kontekstu. Tak czy owak, jesteśmy zawsze jakby w odniesieniu do czegoś, co tylko z pozoru jest nieobecne. Czy nie mają Panowie wrażenia, że w życiu cały czas, ze względów praktycznych choćby, sięgamy po narzucające się w odpowiednich sytuacjach odpowiednie rozwiązania? Odgrywamy jakieś znane nam role, bo nie możemy zresztą odegrać czegoś, czego nie ma w repertuarze naszej kultury. Wszyscy znamy rolę ojca, bogacza, profesora, męża. Ludzie cały czas muszą liczyć się z takimi właśnie formami, które komunikacyjnie uzasadniają i czynią czytelnymi ich działania. Co miałyby zrobić Jagiełło na polu walki pod Grunwaldem ponad to, co przypisali mu historycy? Może jakby zatańczył walca, to przeszedłby do historii z jeszcze większym hukiem. Jednak i on sam nie mógłby takiego posunięcia wymyślić, a jeśli nawet, to czy zrozumieliby jego zachowanie historycy i upamiętnili je w swoich opowieściach? W tym sensie jesteśmy zawsze ze względu na coś. Żeby wypowiedź była zrozumiała, musi się odwołać do czegoś znanego, jakoś „sformalizowanego” – do wyuczonej roli, do tradycji itd.

P.Ż.: Rzeczywiście, język wyobraźni jest ograniczony. To tak jak z wizją kosmitów w filmach s.f. Oni tak zupełnie inni od nas być nie mogą.

J.B.: Nie mogą być inni, bo ich nie wymyślmy. Nie możemy przekroczyć naszej ograniczoności.

J.K.: Bohater powieści *Solaris* Stanisława Lema stanął w obliczu identycznego problemu – wobec granic ludzkiego poznania Obcego. W pewnym miejscu tej książki padają znamienne słowa: „O nim nie dowiemy się raczej nic, ale może o nas...?”⁵.

J.B.: A o Jahwe?

P.Ż.: Właśnie!

J.B.: Przypomniał mi się fajny fragment z trudnej książki *Jeśli zimową nocą podróży* świetnego Italo Calvino. Pisze on tak: „Współpraca pisarza stała się Allachowi niezbędną z chwilą, gdy zdecydował wypowiedzieć się poprzez słowo pisane. Mahomet wiedział o tym i pozostawiał pisarzowi przywilej kończenia

⁵ S. Lem, *Solaris*, Kraków 2004, s. 70.

zdań. Lecz Abdullach [pisarz – przyp. J.B.] nie był świadom władzy, którą mu nadano. Stracił wiarę w Allacha, gdyż brakowało mu wiary w słowo pisane i wiary w siebie samego jako wyrobnika pióra”⁶. To wypisz, wymaluj sytuacja z prawdziwymi historykami i ich dąsami na tekst, którym gardzą w obliczu poszukiwanej przez siebie za wszelką cenę rzeczywistości historycznej. Hayden White mieści się natomiast niezłe w spostrzeżeniu Abdullacha. Dla uczynienia tej przewspaniałej historyjki dodam, że Mahomet po wysłuchaniu słów Boga – jak przedstawia Calvino – dyktował je właśnie Abdullachowi i urywał zdanie w połowie, a pisarz bezwiednie podpowiadał mu zakończenie. I ten twórczy oraz zaszczytny udział pisarza w prawdzie i rzeczywistości był dla niego nie do udźwignięcia. Nie chciał ani takiej prawdy, ani takiej rzeczywistości.

Powiedziałbym jeszcze następująco: dopóki w naszej cywilizacji pozostaje żywy np. syndrom posesywności i wytwarza on zgodnie ze swoją treścią w układzie społecznym określone i utrwalone kulturowo sytuacje, to kolejni pisarze i noszący różne imiona, za Abdullachem, właściwie i poprawnie będą dopowiadać ciąg dalszy jakiegoś przypadku z tej „posesywnej” grupy zdarzeń. Weźmy dla przykładu badany przeze mnie atak na gospodarza zasiadającego za stołem. Jeżeli jem i to jest moje jedzenie, to – przed 500 laty czy za 100 lat – zabranie mi ze stołu i zjedzenie tego (zadysponowanie tym), co na nim było, jest jednoznacznie wartościowane i często sama akcja ilustrująca taki wypadek rozwija się podobnym torem, nie mówiąc już o tym, że przesłanie ideowe pozostaje prawie identyczne w najróżniejszych realizacjach. Przechwycić stół gospodarza, znaczy wyeliminować go, przejąć jego rolę.

J.K.: To jest zatem ów czynnik wspólnotowości?

J.B.: Oczywiście. Jesteśmy zakorzenieni w wypowiedziach o sobie i w naszych (wspólnych, długotrwałych i odpowiednio waloryzowanych) problemach społecznej egzystencji człowieka. Do czego się odwołujemy? Do jakichś porównań historycznych – szczegółowych i strasznie uhistorycznionych? Raczej sięgamy po przykłady podsuwane nam przez naszą obecną (ale tym samym historyczną) wrażliwość kulturową i nasz obecny problem (czyli na dobrą sprawę zadomowiony w globalnej cywilizacji). Im ogólniej peroruję, tym większe niedostatki myślenia, ale, pal sześć, jako z grubsza tak rzecz widzę. Na badawczych przykładach łatwiej tę „teorię” pokazać, a w zasadzie jej funkcjonowanie.

J.K.: Przywołując konteksty literaturoznawcze, nie sposób pominąć, wspomnianego już przez Pana, Haydena White’a oraz Franklina Ankersmita, koryfeuszy narratystycznej filozofii historii. Co Pan sądzi o przedstawionym przez

⁶ I. Calvino, *Jeśli zimową nocą podróżny*, przeł. A. Wasilewska, Warszawa 1989, s. 182.

nich obrazie istoty pracy historyka? Czy znajduje Pan w tej propozycji potencjał dający się wykorzystać przez badaczy historycznych tekstów? Zachęcam, jak widać, do rozwinięcia zaczętego już wcześniej wątku...

J.B.: Hayden White przedstawił swoją koncepcję bardzo elegancko. Ankersmit jest dla mnie prostszy, bardziej ideologiczny. White w sensie intelektualnym, sądzę, jest o niebo wyżej. Często czujemy to, co White powiedział – że historia jest opowiadana przez nas, gdy piszemy o historii i historia jest opowiadana przez tych, których dzieła czytamy jako źródła do historii. Czy to poważny zarzut, że pisząc historię, wchodzimy na grunt retoryki itp., co wedle rygorystów odsuwa nas od prawdy? Nie bądźmy Abdullachami!! Doceńmy raczej jako historycy możliwość dokończenia zdań zaczętych przez Proroka! Nie widziałbym niczego złego w fakcie, że nasz ogląd jest zawsze zapośredniczony, czy to przez słowo, czy to przez obraz. Konstatację White'a przyjmuję jako rzecz oczywistą i nie sądzę, żeby historia od tego się zepsuła. Nikomu nie chodzi o to, że rzeczywistości nie ma, tylko że jest ona dynamicznie tworzona w każdym autorskim przypadku i ma lico opowieści, bo musi mieć. Na straży prawdy o przeszłości stoi warsztat badawczy historyka, też zmienny, jak wszystko, ale zawsze w danym czasie z pewnością bardzo dobrze rozstrzyga, co prawdziwe, czyli lepiej przystające do znanych nam źródeł, naszej wiedzy i metod pozyskiwania informacji.

P.Ż.: To ciekawe, ale „prawdziwy” historyk chce być ponad opowieścią. Chce być absolutnie wyjęty z badanego przez siebie układu, stwarza sobie taką iluzję. Rozmawiałem z pewnym historykiem (jego nazwiska nie wymienię), który uważał, że to, co zrobił Hayden White, było nie w porządku. W jego opinii White, biorąc w *Metahistory* na warsztat prace historyków, popełnił grzech skalania własnego ogrodu. Mój rozmówca jakby sugerował, że powinniśmy cały czas trwać w iluzji, że historyk, który bada przeszłość, jest całkowicie wolny od mechanizmów, które opisuje i z którymi się mierzy...

J.K.: ...że dysponuje tą wspaniałą, pozakulturową, transcendentalną perspektywą „Boskiego oka”...

P.Ż.: ...albo „narratora wszechwiedzącego”. Największą zasługą Haydena White'a jest uczulenie na fakt, że my również podlegamy tym samym mechanizmom wiązania narracji, które – jeśli jesteśmy tego świadomi – obserwujemy w naszych źródłach. Jeżeli jednak budujemy własną narrację, to nie ma wyjścia. Możemy być samoświadomi, albo nie, ale opisany mechanizm zadziała.

J.K.: Antropolodzy nazywają ten rodzaj badawczej czujności postawą refleksyjną. Podejmuje się próby językowego, narracyjnego „złapania” obcej nam rzeczywistości, opisanie jej, ale jednocześnie czyni się to z zachowaniem świadomości kulturowego źródła tej aktywności, jej zanurzenia w naszym języku, w określonych strategiach narracyjnych i towarzyszących im zespołach

pojęć i wartości. Refleksyjność nie jest postawą komfortową, wywołuje bowiem rozchwianie zarówno tradycyjnego przedmiotu badań, jak i badającego podmiotu. Z pewnością jest ona godna praktykowania, ale prowadzić też może do prób budowy pewnych wymogów ideologicznych...

J.B.: Tak. Można też głupio powiedzieć – bo to jest trochę taki *circulus vitiosus* czy panteizm poznawczy – że ich wypowiedź jest również świadectwem rzeczywistości, tylko że rzeczywistości, która zyskuje metkę akademicką i że oni też na rzecz tej przez duże „R” pracują. Rzeczywistość istnieje, nikt nie przeczy, ale każde wyjście poza nią i każde zobiektywizowanie się mnie wobec niej skutkuje klęską akademicką, choć nie klęską społeczną. Wspólnoty muszą mieć bowiem dla pokrzepienia i otuchy jakieś spojrzenie globalne, zewnętrzne. I tak, w takim duchu, jesteśmy wychowywani. „Co ustrój, to nowa historia” – słyszy się często jako bezwzględna naganę polityków, którzy tę jedyną prawdziwą historią frymarczą dla własnych ideologicznych potrzeb. Z jednej strony, mając na względzie wynikające z potrzeby chwili działania propagandowe, przyznawałem tym narzekaniom rację, ale z drugiej strony, metodologicznej, wiem, że Historia zmienia swoje oblicze. Historia musi się zmieniać, gdyż jest dynamiczna, pozostaje funkcją dynamicznego poznania. Prawie nikt, podobno w imię uszanowania prawdy, nie chce tego zrozumieć. Historia jest jedna, jedyna, ale jakby lekko tylko podrażnić, okaże się, że ta najlepsza – to zasłyszana w młodym wieku, w trakcie najmocniejszej (i na ogół szkolnej) indoktrynacji kulturowej jednostki.

P.Ż.: Przypomina mi się mój ulubiony pogląd Józefa Widajewicza, wybitnego przedwojennego mediewisty, który twierdził, że spory i dyskusje o Bolesławie Chrobrym trzeba zakończyć. Widajewicz uważał, że Chrobry był wielki, robił wszystko dobrze i koniec. Nie ma co dyskutować.

J.B.: Nie chciałbym w tej chwili głęboko wchodzić w ten problem, ale kwestia społecznego funkcjonowania Holocaustu jest bardzo klasycznym przykładem omawianego przez nas zagadnienia – próby swoistego zmumifikowania historii. Pamiętam, że moja matka była za takim zmumifikowaniem historii przedwojennej i wojennej Niemiec i historii Holocaustu: „Nie ma po co i o czym roztrząsać – ja to widziałam, to było straszne i poprzestańmy na tym. Są dobrzy i źli – na zawsze”. Wszelkie dociekania, czy ktoś stał 200 metrów dalej czy z boku i mógł czy nie mógł strzelić i czy trafił śmiertelnie – z pewnością u ludzi, którzy przeżyli wojnę, wzbudzały złość, rozgoryczenie, a i przeświadczenie, że w obliczu tak oczywistych zbrodni podejmuje się tak miałki i „nieoczywiste” z punktu widzenia naturalnego poczucia sprawiedliwości działania. Też chciałbym, żeby to szlachetne odczucie historii zwyciężyło, trwało, panowało.

Ale nie mogę nie zauważyć, że jego dziećmi są Spielberg, Wajda, „Czterej pancerni i pies” itd. Historia niczego nie czuje i nikogo nie potępia. To my

nadajemy jej moralny i jakikolwiek inny sens – wracamy z nim do „historii”, no i im bardziej chcemy wyjaśnić sytuację, podać ją klarownie i w sposób zrozumiały, tym mocniej uprawiamy propagandę.

Niedawno jeden z ważnych polityków stwierdził publicznie, że spory o Bolka psują wizerunek naszego herosa w świecie, a przecież powinniśmy pracować nad upowszechnieniem postaci jednego z najlepiej rozpoznawalnych Polaków, i to wszędzie. I racja, tylko co z tą maczugą historii prawdziwej i uzgodnionej? Bo ci, co dostana ją do ręki, wybiją wszystkich innych, którzy w tamtej historii zaaprobowanej się nie mieszczą. Idziemy ku innej konstatacji. Kiedyś żartobliwie mówiono: „Lenin wiecznie żywy”, ale żywy wiecznie jest też Karol Wielki, Stalin, a nawet Mieszko I. To, co i jak dziś o nich mówimy, tworzy ich własną, średniowieczną i XX-wieczną historię. Jakieś 15 lat temu zakładałem się z prawdziwymi historykami, ku ich próżnej w każdym tego słowa znaczeniu uciesze, że gdzieś w okolicy 2015 roku, to Polska wypowie wojnę Niemcom, no i cóż wtedy ZSRR, jak zresztą twierdzi od lat, musi ratować (17 września) ludność białoruską, ukraińską i żydowską przed wyniszczeniem przez Polaków. Nad historią przeszłości trzeba stale pracować!

P.Ż.: Ostatnio na nowo obejrzałem film „Braveheart”. Wykreowania kogoś, np. Kazimierza Odnowiciela, na takiego bohatera takiego filmu – wedle wszelkich ponadczasowych zasad tworzenia bohatera charyzmatycznego – to powinno być podstawowe zadanie polskiego rządu – zadanie, które byłoby formą promocji w świecie i utwierdzania samych siebie.

J.B.: Jasne, kiedyś specjalizowaliśmy się (i z dużymi sukcesami) w martyrologii powstaniowej (brzmi cynicznie, ale powiedziane jest ciepło, konstruktywnie). Jak kraj przechodni, to pokazujemy groby – Czesi w Pradze mieli krótkie powstanie z kilkoma ofiarami, a jak te monumenty je upamiętniające pięknie i dumnie o wielkiej sprawie zaświadczać. Nie potrafimy zbudować barwnych, chwytliwych obrazów naszej kulturowo-państwowej historii – tylko kibice próbowali coś ze skrzydłami husarskimi, reszta to wikingowie i Europejczycy (prawdziwi). Stadion z zasuwany dachem, ale nie w czasie deszczu, przynoszący milionowe straty może, musi i powinien powstać, a Muzeum Historii Polski, jak dziś wiele innych instytucji kultury, przekształca się w „cyrk w budowie”. I ta wyobraźnia historyczna – szczytująca w Chopinie w trampkach i w Skłodowskiej, chyba wspartej o Syrenkę z futbolówką. A naród tak krwawy i kolonialny jak Anglicy (zasłużeni wynalazcy obozu koncentracyjnego) przy okazji olimpiady przekonał wszystkich na świecie, jak to ponosząc największe ofiary, walczył dla tegoż świata o postępy cywilizacyjny, pokój i sprawiedliwość!

J.K.: Zauważmy, że z jednej strony cały czas mówimy o naukowej wersji historii, która przez nas postrzegana jest jako dziedzina zajmująca się kreacjami „ludzkiego ducha” – historia zajmuje się przecież narracjami o rzeczywistości,

nie zaś jakąś obiektywnie istniejącą w przeszłości realnością. Z drugiej strony zgadzamy się jednak, że ta oparta na efekcie realności historiograficzna fikcja „prawdziwych” historyków jest niezbędna dla istnienia wspólnoty...

P.Ż.: Ja bym powiedział inaczej: i jedno, i drugie jest potrzebne. Nie da się zastąpić opowieści Galla Anonima wyłącznie opowiadaniem historyka o tym, co Gall Anonim napisał. Tu trzeba iść dwutorowo. Jest tu taka myśl – dość dziwnie sformułowana – która, gdy ją rozszerzymy, zyska brzmienie: tradycyjne wypowiedzi historyków są potrzebne, jako wzorcowe i jako kontrpunkt dla badacza narracji.

J.B.: Tak. Ankersmit mówi o dobrych i złych wzorcach. I tu się chwycie – bo z braku kryteriów nie można łatwo znaleźć przejścia między dobrym a złym wzorcem. Powiedział jakoś tak, że dobre rozwiązanie powinno wzbudzać zaufanie swoją prawdą.

P.Ż.: Ankersmit odwołuje się też do psychologicznych chwytów – ekspozując, że coś można przeżyć i zrozumieć poprzez przeżycie. To jest zupełnie niehumanistyczne i niejęzykowe – w związku z tym zupełnie z innej kategorii, z innego porządku.

J.B.: Ja bym go tu lekko bronił. Bo przeżywane w głowie jest już też jakoś kulturowo naznaczone.

J.K.: Mimo wszystko wydaje mi się, że Ankersmit próbuje uciec od nauki Kanta, jego następców i epigonów – absolutyzuje przeżycie, doświadczenie, tak jakby było ono czymś przedkulturowym. Niektórzy próbują dziś postawić granicę w punkcie aktu komunikacji. Mówią, że dopiero gdy zaczynamy komunikować, wpadamy w sidła kultury. Mnie przekonuje jednak opinia, że już akty percepcji są kulturowo ugruntowane, zorganizowane.

J.B.: Oczywiście. Poznajemy i mówimy uwikłani w te sidła.

P.Ż.: Podobny jest status kontrowersji z historykami, którzy twierdzą, że możliwy jest odczyt tekstu źródłowego na poziomie audytorium z czasu powstania tekstu. To jest iluzja, że badacz może się z samego siebie wyzwolić i umie określić to, do czego nie ma dostępu. Gdy mamy informację o tym, jak reagowała publiczność w teatrze w XIX wieku, to można próbować pójść pół kroku dalej, ale w przypadku Galla Anonima nie ma dostępu, a jest iluzja, i to iluzja traktowana niezwykle serio.

J.K.: Tu w istocie dotykamy problemu przekładu międzykulturowego. Strategii ujmowania tego zagadnienia jest wiele: czy faktycznie badacz jest wyłącznym kreatorem znaczeń, czy też – jak mówił Bachtin – funkcjonujemy w jakimś dialogicznym ich współtworzeniu... Oczywiście w przypadku historyków problem ten jest bardziej wyrazisty. Wielu antropologów ma poczucie bardziej komfortowej sytuacji, gdyż jadą w teren, gdzie stają twarzą w twarz ze swoim „obcymi”, z którymi – wszystkimi zmysłami – „negocjują” znaczenia.

J.B.: Ale to jest złudzenie, takie samo jak złudzenie archeologa, który wykopuje siekiere i staje oko w oko z obiektem, i rzekomo dlatego może naukowo lepiej nim manipulować. Otóż, nic nie może. Tak samo jak historyk, antropolog, również archeolog, każdy musi „czytać” i definiować swoje badawcze obiekty. Dlatego wydaje mi się, że wszystkie podziały na nauki historyczne, o literaturze, sztuce itd. mają raczej podstawy praktyczne tylko. Zawsze wpadamy na jakiś system komunikowania, więc jak chcę badać, muszę „czytać”. Nie ma znaczenia, czy „czytam” siekiere czy jakiś wytwór sztuki, czy rozmawiam z człowiekiem. Nie widzę tu różnic. Wiara, że jestem bliżej Indian, gdy jestem z Indianami, nie ma nic wspólnego z bliskością w sensie metodologicznym, ideowym. Owszem, dzięki temu zyskuję szerszy plan widzenia, nasycam moją obserwację, chłonę jakieś szczegóły, ale to nie daje mi zasadniczej przewagi w owym „czytaniu”. Czasami nawet lepiej „czytać” badaną rzeczywistość czy jej składniki w domu i bibliotece.

J.K.: Czyli sytuacja poznawcza jest taka sama?

J.B.: Zapośredniczona.

J.K.: To jest bardzo ważne stwierdzenie – zwłaszcza w kontekście przekonania niektórych badaczy wskazujących na źródłowe, materiałowe, informacyjne upośledzenie historyków względem innych dziedzin wiedzy o człowieku.

J.B.: Podobno są ubożsi, choć prawdę mówiąc, nie wiem, na czym to ubóstwo ma polegać. W każdym razie, sądzę, nie dzieje się tu nic metodologicznie złego, nie dochodzi do jakiegoś „przełomu poznawczego”. Gdy prowadzi się wywiad, widzi się, że ktoś zachowuje się tak lub inaczej. Ja tego w tekście nie dojrzę. Można kogoś o coś dopytać, ale ze źródłem też rozmawiamy! Lecz gdy przechodzi się do materii wywiadu, antropolog i historycy znajdują się na tej samej pozycji. I tym, i tym pozostaje tylko „czytanie” oraz komunikacja z przekazem. Dlatego, nawiasem mówiąc, nie wierzę w tzw. nauki pomocnicze. Rzecz najważniejsza może z tymi antropologami, że oni zafascynowani tym swoim bogactwem i uwiedzeni doniosłością kontaktu twarzą w twarz z obiektem badawczym, zbyt często składają tylko do kupy otrzymane słowa i wypowiedzi wedle sensu prawie gramatycznego, nie wiedząc, co w istocie dostają. Przypominają mi się zbiory etnologiczne, dokumentujące wypowiedzi „prostych ludzi”, dotyczące ich stosunku do świata, społeczności, historii. Badacz wali jedną wypowiedź po drugiej, układając je tematycznie, np. wypowiedzi o niebie, o Bogu, o zorzy, burzy, o zmarłych itd., itp., słabo na ogół kulturowo dookreślając informatora, a z reguły nie próbując (bo tak ważny jest materiał zebrany „na polu”, a on jest nie kto inny tylko etnolog-antropolog) całego tego dobytku poddać obróbce fabularno-narracyjnej (gatunek – bajka, krótka forma, przykład, struktura wypowiedzi, komparatystyka – motywy, wątki, typowe rozwiązania itp.) oraz po prostu badawczej, polegającej na skonceptualizowaniu materiału,

wychwyceniu problemów, które muszą stanąć w planie istniejących już w tej mierze poszukiwań. Zamiast tego wszystkiego, streszczenie (na ogół fabularnych i dostępnych źródeł) i radosne odsyłania do Eliadego, Tazbira, no i koniecznie Bachtina lub do jakichś przypadkowych, a modnych, prac. Razi mnie (i na pewno nie jako historyka, lecz jako zwykłego badacza) tak rozumiana powierzchowność owych badań – kto ma tylko lepszy warsztat literaturoznawczy, historyczny, mitologiczny itp., uśmiecha się na głośno wykrzykiwane rewelacje etnologo-antropologów o kulturowym życiu wiatraków, „towarzyskich” funkcjach podwórka XIX-wiecznej kamiennicy, biesiadach naszej i poprzedniej doby czy eschatologicznych wyobrażeń ludu. Panowie i Panie, upraszczacie sobie robotę, cały wielki bagaż problemów (często mało zmieniających się w długiej perspektywie czasowej) i doświadczeń badawczych, zostawiając poza burtą swego naukowego statku. Najchętniej zaś mówicie o tym, kim metodologicznie jesteście lub zamierzacie być i zmieniacie te sukienki tak szybko, że z ich założenia nic praktycznego nie wynika.

P.Ż.: Ale współczesna definicja nauk pomocniczych mówi, że są one źródłoznawstwem.

J.B.: Dobrze by było, gdyby tak było, gdyby płynęło z tej deklaracji coś dla samej metody pracy ze źródłem istotnego. Naprawdę tzw. nauki pomocnicze historii zajmują się „dokszałem” studenta w zakresie praktycznej orientacji w „antykwarjacie” historycznym – ważne kompendia, podręczniki, wiadomości o pieczęciach itd. Pomyślałem teraz, że wobec pewnego odwrotu młodych od studiów historycznych można by jako naukę pomocniczą wprowadzić kuchmistrzostwo prądziejowe i dziejowe czy hipologię ogólną. Nie jestem oryginalny, bo *via facti* na naszych uniwersytetach w ramach historii żywej pokazują się takie dyscypliny wspierające.

J.K.: W kontekście antropologicznego, historycznego, a jak widać i archeologicznego „bycia tam”, warto wspomnieć o problemie naocznego świadka i jego statusie. Czym jest w Pańskiej perspektywie relacja świadka naocznego? To pytanie wydaje mi się ważne z punktu widzenia powracających chyba wśród niektórych antropologów przekonania absolutyzujących rolę informatora i własnego doświadczenia terenowego, owego zaświadczonego „ja” opartego na argumentie „bycia tam”.

J.B.: Świadkowie naoczni są niezbędni w jakimś sensie, ale są też najbardziej niebezpieczni. Występując przeciwko naocznemu świadkowi, chciałem przede wszystkim skrytykować tych, którzy uważają, że jest on panaceum na wszystko albo że dzięki niemu można uzyskać wyższość nad tym, kto nie ma takiego świadka. To nie jest prawda. Po pierwsze, świadek zdaje nam sprawę – bo musi – aspektywnie. Czyli trzeba by było kilku świadków przepytac – a to najczęściej nie jest możliwe – żeby mieć lepszy wgląd w wydarzenie. Poza tym świadek

zawsze ma „punkt widzenia”, w związku z tym jest niebezpieczny w tym sensie, że absolutyzuje w relacji ów swój punkt widzenia, o którym z kolei my zapominamy – zapominamy, że ów punkt widzenia jest i działa przemożnie na składane świadectwo. Problem jak z fotografią. Każde zdjęcie niesie ze sobą jakieś ograniczenia możliwości poznania rzeczywistości fotografowanego zjawiska czy obiektu. Ale w gruncie rzeczy wierzę jeszcze w to, że świadek naoczny zawsze mówi o tym, co wie wcześniej, zanim się coś wydarzyło, zanim zobaczył, a przynajmniej wie to, co wydaje mu się, że powinien lub może zobaczyć. W związku z czym świadek na dobrą sprawę budzi u mnie pewien uśmiech pobłażania. Oczywiście mówię tu o świadkach historycznych. O takich zwłaszcza, którzy odtwarzają coś, co widzieli 15 lat temu. Taka wypowiedź jest ciekawa, ale w sensie jakościowym nie odbiega zasadniczo od bardziej zapośredniczonych. Krótko mówiąc, znaczy to dla mnie tyle, że świadek naoczny wymaga takiej samej ostrej procedury sprawdzenia jak wszystko inne. Natomiast dla badacza terenowego spotkanie z nim oznacza konieczność szybkiego i wielopłaszczyznowego „czytania” przekazu. Bo człowiek upraszcza i porządkuje, nawet podświadomie, doznania i w konsekwencji relację, żeby jego „skarby”, czyli „naoczność”, dał pytającemu prawdziwe wyjaśnienie zaobserwowanego zdarzenia. „Widziałem, to wiem, jak było”.

J.K.: To zapewnia nam rodzaj poczucia bezpieczeństwa ontologicznego.

J.B.: Tak, zabezpiecza również poruszanie się w rzeczywistości. Bo jakbym zastanawiał się nad wszystkim, to bym nie mógł wykonać ruchu.

J.K.: Panie Profesorze, w planie tego wszystkiego, o czym do tej pory mówiliśmy, jak oceniłby Pan współczesne kulturowe projekty badawcze historiografii francuskiej, niemieckiej czy amerykańskiej (np. historię reprezentacji, historię czytelnictwa, historię wyobrażeń zbiorowych itp.)? Czy może Pan wskazać najciekawsze dziś, Pańskim zdaniem, zjawiska przynależne do tego kręgu ideowego? Na które z mniej znanych środowisk naukowych i realizowanych przez nie projektów warto zwrócić uwagę?

J.B.: Za dużo Panowie ode mnie wymagają czy oczekują. Nie śledzę tych nurtów dokładniej, niektórych z nazwy nawet nie kojarzę. Proszę pamiętać, jestem tylko porucznikiem (lieutenant), oficerem liniowym, który trzyma dobrze przede wszystkim swoje miejsce na polu walki. Na moim przedpolu ostro harcują „rytuałści” z rosnącej stale armii generała, a może feldmarszałka Gerda Althoffa. Krytycznie (ale z szacunkiem) przyjmuję teorię o globalnym, przemyślnym rytuale, który wprawia w ruch skomplikowaną maszynę średniowiecznej społeczności i jej polityki. Rytuały pobudziły zainteresowanie spektaklami, powiedzmy, komunikującymi ludziom treści idące od króla, elit, postawiono kwestię teatralizacji życia w dawnych epokach (H. Keller, J.-D. Mueller). Jeśli chodzi o teksty, modne stało się we Francji śledzenie losów jakiegoś przekazu,

zwykle chodzi o żywot świętego, w długim odcinku jego kulturowego trwania i zmian. To zajęcie pożywne, zwłaszcza gdy żywot funkcjonuje w „zamkniętym środowisku” jakiegoś miasta, regionu (M. Heinzemann, M. Goulet). Zaczęto też dostrzegać, co mnie bardzo cieszy, wpływ popularnych kreacji literackich na kształtowanie się różnego typu tożsamości i oddziaływania tychże na postawy ludzi, krótko mówiąc – na prawdziwą rzeczywistość. Prace Gerta Melvilla, a i Korduli Wolff (o wielorakich „użyciach” legendy trojańskiej) są przy tej okazji do przypomnienia. Cóż, między uprawianiem badań a kultywowaniem refleksji nad nimi nie ma dobrych kanałów przepływu – i chyba być nie może. Raczej dzięki teoretykom i metodologom zmienia się jakoś postawa poznawcza badaczy zwykłych i wtedy następują korekty w sposobach pracy. Z prac profesor Ewy Domańskiej dużo się o humanistycznych nowinkach dowiaduję, także z tego źródła popłynęła do mnie wiedza o zwrocie ku rzeczom. Ale moje zainteresowanie „posesywnością” średniowiecznych ludzi, fenomenem, jak rzeczy budują, wyróżniają swego właściciela i jak mocno w życiu społecznym go reprezentują (często „samodzielnie” i w interakcji działając), mija się z odpowiednimi koncepcjami koryfeuszy metodologii. Coś tam nam razem brzęczy, ale jednak moja refleksja idzie od opisów tamtej rzeczywistości, one budzą intuicje „problemowe”, a potem szukam wsparcia teoretycznego. I jeszcze mała uwaga – kiedyś ożywiano historię, otwierając coraz to nowe pola badawczych zainteresowań, podobno zaniedbane. Mało wiedzieliśmy o snach, no to sny, o dzieciństwie, no to dalej, potem o starości, śmierci itp. Wzięto się za kobiety, gejów, czas na brunetki z czarnym wąsem. Obecnie mocniej nową jakość badania określa metoda, teoria, wprowadzona do rozważań z zamiarem uporządkowania pozyskanego materiału, w nadziei wyjaśnienia zjawiska. Wróciliśmy do starego problemu – historyk musi zwrócić się do nauk mających więcej do powiedzenia (i w sposób ogólniejszy oraz pewniejszy) o człowieku w ogóle, jego reakcjach, myśleniu, działaniach w grupie, by wskazać jedynie niektóre sprawy. Co nie znaczy, że „historyczne badania” nie są warte prowadzenia.

J.K.: Badanie intertekstualnych zależności i mutacji tematów przypomina nieco praktyki antropologów badających choćby wędrówki określonych motywów we współczesnym folklorze. Warto więc w tym miejscu zapytać o relacje pomiędzy antropologią a historią. Czy w Pańskiej perspektywie da się uchwycić te relacje, zwłaszcza w polskich warunkach? Jakie mogą być silne i słabe strony takiego mieszania gatunków?

J.B.: Jestem zwolennikiem mieszania wszystkiego, jeżeli ta mieszanka czemuś służy. W tym względzie jestem więc bardzo pragmatyczny, ale równocześnie bezwzględny wobec tych wszystkich badaczy, którzy okopują się na własnych, „wyuczonych” pozycjach. Jeśli mam problem badawczy, to powinienem iść jak pies tropiący – wygryzać dziury w przeszkodach i przechodzić dalej,

i uczyć się. U nas zapowiadało się to bardzo ładnie. W latach siedemdziesiątych folklor znalazł się w polu zainteresowań historyków, byliśmy pod wpływem badaczy francuskich, a ci (Jacques Le Goff, Jean-Claude Schmitt, Claude Bremond i inni) starali się pokazać, jak wiele wspaniałych dóbr wyższych Kościoł, oficjalna kultura wyższa, ukradli stłamszonemu ludowi. Królował Bachtin, Propp, Ivanov, Toporov raz po raz z folkloru, jak magik z kapelusza, wyciągali kulturowe perełki, które zaświadczały, że Ruś ma wszystko to, co naród wielki w dorobku duchowym mieć powinien. Obok koncentrowano się na nowej kulturze ludowej czy popularnej, tej „robionej” przez franciszkanów i dominikanów – *exempla* kaznodziejskie dawały do niej przepustkę. My mieliśmy świetny dorobek Krzyżanowskiego, prace Czesława Hernasa, „Literaturę Ludową”, „Polską Sztukę Ludową” – wtedy świetne pisma. I „antropologiczne tematy”, i rozprawy wchodziły wtedy w pole widzenia historyka jakby naturalnie, zwłaszcza w środowisku młodszych badaczy. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że przy wszystkich odchyłach specjalistycznych początkujący historyko-etno-antropologowie – Stomma, Benedyktowicz, Wasilewski, Tomicczy i ja – rozumieliśmy się dobrze co do tego, jak badać, jakie sprawy warto brać na warsztat. Dziś (znowu zaryzykuję prawidłowość) badacz o dobrym warsztacie i pomysłu, będący historykiem, jakikolwiek byłby jego przymiotnik, zawsze wjedzie z sukcesem na obszary antropologiczne. Myślę np. o pracach Witolda Wojtowicza, Andrzeja Dąbrówki, Dariusza Seweryna (mam nadzieję, że wkrótce wyjdzie jego rozprawa pt. *Prehistoria – średniowiecze – romantyzm. W kręgu indoeuropejskich tematów mitologicznych: od Dumézila do Słowackiego*).

J.K.: Wróćmy jeszcze na chwilę do relacji między historią i antropologią. Czy w polskich badaniach antropologicznych znajduje Pan jakieś inspiracje dla swoich badań i czy daje się dostrzec gdzieś ślady istnienia naszej polskiej „ścieżki rozwoju” antropologii historycznej?

J.B.: Co do relacji obu dyscyplin, to może się Panowie zdziwić, ale nie kłóciłbym się mocno z profesorem Czesławem Robotyckim, z jego tezami na nowo przemyślanymi⁷. Lubi swoją antropologię, stąd przypisuje jej zbyt wielkie zasługi (myślę o naszym gruncie przede wszystkim), lecz na główne konstatacje – zgoda. Może pokoleniowa formacja daje o sobie znać? Nasza ścieżka rozwoju antropologii historycznej? Jest kręta, sądzę, raz ginie, raz jest lepiej widoczna – raczej trudno mówić o jakimś froncie tego rodzaju badań. Cechowe środowiska uniwersyteckie, pod wpływem nacisku ciekawszych mutacji histo-

⁷ Cz. Robotycki, *Historia, tradycja, antropologia – tezy na nowo przemyślane*, [w:] *Atena i Arachne, która z nich piękniej tkaninę wyszywa. Historia i antropologia*, wyd. J. Eichstaedt, K. Piątkowski, Ożarów–Wieluń 2012, s. 33–36. Przedruk tego artykułu znajduje się również w „Roczniku Antropologii Historii”, 2011, R. I, nr 1–2, s. 217–221.

rii-humanistyki, okopały się dawno na stanowiskach zachowawczych. Z kolei nie wiem, czy dzisiejsi wysoko samoświadomi antropolodzy chcieliby dostrzec jakieś antropologizowanie w obecnych i dawniejszych dokonaniach historyków, nawet tych nowatorskich. Ja też zresztą nie potrafiłbym precyzyjnie stwierdzić, co decyduje o antropologicznym charakterze historycznego w założeniu poszukiwania. Czy np. prace profesorów Leszka Słupeckiego i Stanisława Rosika poświęcone wierzeniom pogańskich Germanów i Słowian mają już ten charakter, czy nie? Jak z rozprawami profesora Zbigniewa Dalewskiego o rytuałach czy książką i artykułami jednego z moich rozmówców, profesora Pawła Żmudzkiego? By zakończyć – najlepsza moja lektura antropologiczno-historyczna to jednak *Konopielka* Redlińskiego.

P.Ż.: Czy mógłby nam Pan na koniec zdradzić, nad czym teraz pracuje? Jakże są Pańskie dalsze plany naukowe?

J.B.: Chciałbym skończyć pracę o królu Lotarze, jednym z ostatnich Karolingów, i Ottonie II. Chciałbym opowiedzieć, idąc za kronikarzem Richerem, o wojnie 978 roku, o napaści Lotara na Akwizgran i srogiej odpowiedzi na nią Ludolfinga (oblężenie Paryża), o rywalizacji sąsiadów przez Ren i o tym, jak z tego współzawodnictwa narodzili się Francuzi, a po drugiej stronie rzeki zostali dzicy Sasi. A jakiś czas temu skończyłem duży artykuł poświęcony Ottonowi I i Dytrykowi, biskupowi Metz, a dokładniej rzecz biorąc – polowaniom na relikwie, jakie na zlecenie tych dostojników były przeprowadzane w Abruzzach w trakcie pobytów tam cesarza i jego zausznika. To była trudna sprawa, bogata, trudno dostępna literatura, wysokie standardy badania, śrubowane przez badaczy niemieckich od połowy XIX wieku. Obcy badacz nie ma łatwego dostępu do Ottona I, a także Dytryka, jego krewnego! Zbierałem literaturę przez trzy czy cztery lata, aby dociągnąć swój poziom do poziomu niemieckiej mediewistyki. W tej chwili przygotowuję mapkę Abruzzów w X wieku, bo wydawcy chcieli, żeby pokazać drogi, którymi poruszał się wówczas Otto I.

P.Ż.: Prawdziwa historia...

J.B.: Prawdziwa historia, ale oglądana przez teksty i jedynie konfrontowana z rzeczywistością historyczną w jasnych punktach jej ontologicznie najmniej dyskusyjnych przejawów, czyli: data, miejsce, kto, co – był, nie był, zrobił, nie zrobił itp. To dość duża praca, potraktowałem ją ambicjonalnie, chciałem stanąć na międzynarodowym ringu i zamknąć karierę. Byłem przybity, bo wydawcy długo ją czytali, ale ostatecznie wyrok był pomyślny.

J.K.: Nie mogę powstrzymać się z ostatnim, kluczowym dla mnie pytaniem. Jak określiłby Pan swoją tożsamość naukową?

J.B.: Jest zdecydowana i daje się określić jednym słowem: kundel. Kundel, czyli wiele ras, wiele tradycji, umiejętność żywienia się samemu, wędrowność (tu się posili, tam zamerda), życie poza sforą, no i podobać się jednym, a innym

nie. To dobra analogia, a poza tym bardzo lubię psy. Przy wielu sympatiach naukowych do nikogo nie trzeba się przyzwyczajać. Badanie jest przede wszystkim – i badania nie podejmuję dlatego, że chcę jakąś szkołę czy metodę pokazać. Musi ono wynikać z pomysłu, przekonania, że kombinacja użyta coś przynosi, coś rozwiązuje.

J.K., P.Ż.: Bardzo serdecznie dziękujemy za rozmowę.

